DGP
Dziennik Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend

RYS. PATRYK KOCH, FOT. UNSPLASH (8), SHUTTERSTOCK (3), WIKIMEDIA COMMONS (1)

Analiza / M**3**

Zaciskanie wspólnego pasa

Po 2027 r. Polska nie będzie już opierać swojego wzrostu na hojnych funduszach unijnych. Europa szykuje się na dołączenie do globalnej rywalizacji, więc dotychczasowe wartości pójdą w odstawkę

pisze Piotr Wójcik

Opinia / M**5**

Mity o różnorodności

W zbyt różnorodnym otoczeniu zanika wspólnota, także wspólnota wartości, co w rezultacie podkopuje demokrację, czyniąc ją podatną na ekstremizm

twierdzi Sebastian Stodolak

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 192 (6861), 2–4 PAŹDZIERNIKA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl 9067552c20

Reportaż / M8

Im bliżej, tym ciszej

W Grzęsce mieszkańcy nie chcą rozmawiać o sprawcy ataku. Wspominają księdza Staszka albo po prostu Staszka
relacjonuje z Jarosławia Daria Al Shehabi

Korespondencja / M15

Winny niewinny

Dziewięć lat po jednej z najgłośniejszych zbrodni w historii europejskich mediów główny podejrzany został uniewinniony w kontrowersyjnych okolicznościach
pisze Michał Potocki

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Panie Sikorski, i po co pan marudzi?

Jan Wróbel

W powodzi realnych kłopotów, przed którymi stoi Polska, wyciąganie przez MSZ nazwy „Fort Trump" jako istotnego zagadnienia zaskakuje. Argument, żeby nie nazywać bazy wojskowej nazwiskiem kontrowersyjnego prezydenta, który budzi emocje we własnym kraju, a także u wielu naszych sojuszników, jest co do zasady słuszny. Tak, nazwa podkreśla uniżoność Polski. Tak, daje satysfakcję Karolowi Nawrockiemu, że skutecznie zabiegał o bazę jako „ten fajny gość z Polski". Tak, nasz premier czy nasz minister spraw zagranicznych w optyce Trumpa fajni nie są.

Jednak podważanie nazwy bazy, której nie ma, a o którą sami zabiegamy, lokuje się w formacie prężenia muskułów tam, gdzie akurat większość Polaków wolałaby konkret. Czy możemy sami zbudować Fort Trump, coś na kształt Disneylandu, ale mającego duży potencjał zniechęcania Rosji do ataku na Polskę? Nie. Czy chce go zbudować amerykańska administracja? Tak, w każdym razie chwilowo jakby chce. W rankingu nazw budzących szyderę akurat „Fort Trump" na pewno lokuje się wysoko – ale nic z tego nie wynika dla sprawy.

I akurat Radosław Sikorski stał się twarzą protestu przeciwko mało istotnemu symbolowi. I po co? Po pierwsze, to jeden z nielicznych w Europie polityków, który po krótkim zawahaniu podczas nieszczęsnego „resetu" ogłoszonego przez USA w stosunkach z Kremlem w czasach Baracka Obamy przedstawiał światu prawdziwy obraz Federacji Rosyjskiej. I słusznie lokował przyszłość Polski w obozie państw Zachodu, nie państw Europy Środkowej – również w tym znaczeniu, że niby w Unii Europejskiej, ale nie w pierwszym szeregu, lecz w środku peletonu. Po drugie, to on chętnie prezentował się jako zwolennik prawdziwej polityki, opartej na faktach i czynach. Wreszcie jednoznaczny głos Polski po stronie wolnej Ukrainy, a przeciwko imperialistom, i po stronie UE aktywnej, a nie ciapowatej, jest sygnałem rozpoznawczym przemówień szefa naszego MSZ.

Marudzenie w sprawie nazwy bazy nie jest spójne ani z przekazem na temat konkretów, ani z przekazem na temat rosyjskiego zagrożenia.

©℗

FOT. KEVIN DIETSCH/GETTY IMAGES

Wywiad / M11

Chiny nie chcą być drugą Ameryką

Ambicją Chin nie jest zastąpienie USA. Pekin dąży do świata, w którym Stany nie będą już jedynym mocarstwem zdolnym do ustanawiania globalnych reguł
mówi Yu Jie z Chatham House

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Płace:
Agata Eichler,
Joanna Pieńczykowska-
-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FiP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Kolporter

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje
o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ℗ – znak odpłatności; ©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

eprasa.pl 9067552c20

Zaciskanie wspólnego pasa

RYS. PATRYK KOCH, FOT. UNSPLASH (3), WIKIMEDIA COMMONS (1)

Po 2027 r. Polska raczej nie będzie już mogła opierać swojego wzrostu na hojnych funduszach unijnych. Europa szykuje się na dołączenie do globalnej rywalizacji, więc dotychczasowe wartości pójdą w odstawkę

Piotr

Wójcik

Unia Europejska nigdy nie stanowiła jednolitego bloku, a celem Moskwy od zawsze było podsycanie sporów i rozbijanie Wspólnoty od wewnątrz. Łatwiej jest negocjować wszelkie kwestie z pojedynczymi państwami, wśród których nawet największe nie mają ponad 100 mln mieszkańców, niż z jednym silnym organizmem liczącym ponad 0,5 mld obywateli. Główny spór, rozrywający UE już od dekad, nie jest jednak sprawką Kremla. Państwa członkowskie najczęściej kłócą się oczywiście o pieniądze.

Najgłośniejszą odsłoną tego sporu był kryzys strefy euro, który rozpoczął się w 2008 r. Tak zwane państwa oszczędne chciały wtedy za wszelką cenę ograniczyć wielkość wsparcia dla Grecji i pozostałych państw z Europy Południowej. Można było już o tym zapomnieć, ale przecież tamte wydarzenia wywierają przemożny wpływ do dziś. To właśnie na fali niechęci do „płacenia za greckie długi" wyrosła AfD, która została założona przez niemieckich ekonomistów domagających się wyjścia Berlina z obszaru wspólnej waluty (lub przynajmniej wyrzucenia z niej Grecji). Z biegiem czasu populistyczna partia się zmieniała i obecnie kojarzy się ją raczej z neonazistami, a nie akademikami... Kierunki takich procesów politycznych trudno przewidzieć, o czym warto pamiętać przy okazji kolejnej odsłony tego przeciągania liny.

Sześciu skąpców

Do końca roku jest planowane uzgodnienie ram zbliżającej się perspektywy budżetowej UE. Wieloletnie Ramy Finansowe (WRF) Wspólnoty są ustalane na siedem lat i obecna perspektywa kończy się w 2027 r. Jest bardzo prawdopodobne, że w latach 2028–2034 fundusze unijne będą zdecydowanie mniej hojne.

28 września sześć państw członkowskich wystosowało list do premiera Irlandii Micheála Martina (do końca 2026 r. to właśnie Dublin sprawuje prezydencję, czyli przewodzi obradom Rady Unii Europejskiej, gdzie są uzgadniane kluczowe sprawy). Jego autorami są kanclerz Niemiec Friedrich Merz, kanclerz Austrii Christian Stocker oraz premierzy: Mette Frederiksen z Danii, Rob Jetten z Holandii, Petteri Orpo z Finlandii i Ulf Kristersson ze Szwecji. Jak łatwo można się zorientować, grupę tę tworzą wyłącznie przywódcy państw zamożnych, a więc też płatników netto. Niemcy, Holandia i Dania to tradycyjni przeciwnicy zwiększania unijnych wydatków budżetowych. I tak politycy holenderscy sprzeciwiali się utworzeniu postpandemicznego Funduszu Odbudowy (w Polsce znanego jako KPO), a Niemcy od zawsze spierali się z Francuzami o uwspólnotowienie długu publicznego państw strefy euro. Mało kto już pamięta, że Berlin był też głównym bloku- ▷

eprasa.pl 9067552c20

Kolejka chętnych do skorzystania z polityki spójności wydłuży się o Hiszpanię i Włochy. Będzie znacznie łatwiej znaleźć koalicję blokującą pomysły zamożnej Północy, ponieważ głosy Rzymu i Madrytu ważą dużo więcej niż Bratysławy czy Budapesztu

jącym wprowadzenie euro, chociaż paradoksalnie właśnie to Niemcy najbardziej na nim skorzystały, zwiększając konkurencyjność swojego eksportu.

WRF na lata 2021–2027 opiewają na ponad 1,2 bln euro, więc mowa o naprawdę gigantycznych pieniądzach. Poza tym UE uruchomiła jeszcze Fundusz Odbudowy, który sięgnął 750 mld euro, a niedawno także zbrojeniowy SAFE na 150 mld euro. Ten drugi działa jednak w całości w formie pożyczek (ten pierwszy w części), poza tym oba programy mają charakter incydentalny. KPO i SAFE dodatkowo nadwyrężyły jednak hojność państw z natury oszczędnych. Obecnie na stole leży propozycja Komisji Europejskiej, według której podstawowy budżet UE na kolejnych siedem lat wyniesie 2 bln euro.

„Niemal każde państwo członkowskie UE podejmuje bolesne wysiłki, by konsolidować finanse publiczne. Nie będzie europejskiej suwerenności bez zdrowych finansów publicznych. Komisja Europejska zaproponowała nominalny wzrost o ok. 60 proc. To po prostu nierealistyczne" – piszą autorzy listu skierowanego do irlandzkiej prezydencji. Faktycznie, członkowie UE zasadniczo mają problem ze spełnianiem kryterium fiskalnego dotyczącego zadłużenia sektora finansów publicznych (do 60 proc. PKB). W całej UE to 80 proc. PKB, a w samej strefie euro nawet ok. 90 proc. (dane Eurostatu za 2025 r.). Tak się też składa, że w pierwszej piątce nie ma żadnego z sygnatariuszy listu. Dług publiczny w Grecji przebija 140 proc. PKB, a we Włoszech do tej granicy dobija. We Francji to niespełna 120 proc. PKB, w Belgii 110 proc., a w Hiszpanii równe 100 proc. Kryterium fiskalnego nie spełnia jednak także trzech z sygnatariuszy – Finlandia (ok. 90 proc.), Austria (80 proc.) oraz Niemcy (nieco ponad 60 proc.). Polska w wyniku wzmożonych wydatków zbrojeniowych w zeszłym roku właśnie dobiła do tego progu. W Holandii, Szwecji i Danii dług publiczny wynosi mniej niż 40 proc. PKB.

Dochody własne, czyli głównie wpłaty

Oczywiście państwa członkowskie mają ogromny wpływ na kształt budżetu UE. Nie tylko biorą udział w jego uzgadnianiu, lecz także zwyczajnie się na niego składają. Unia Europejska w 90 proc. finansuje się z dochodów własnych (w pozostałej części z nadwyżek z wcześniejszych okresów oraz grzywien nakładanych na podmioty nieprzestrzegające praw wspólnego rynku). Te dochody własne to jednak w ogromnej części wkłady państw członkowskich. Według danych Komisji Europejskiej w 2025 r. za 65 proc. wpływów do brukselskiej kasy odpowiadały wkłady krajów członkowskich wyliczane na podstawie dochodu narodowego brutto (DNB), a kolejne 16 proc. to udział w podatku VAT (określony z góry stawką 0,3 proc. od podstawy wszystkich transakcji obciążonych tym podatkiem). Zaledwie 14 proc. to kategoria, którą UE faktycznie może nazwać „własną", czyli cła. Pozostałe 5 proc. to wpłaty z tytułu wytwarzania odpadów opakowaniowych niepodlegających recyklingowi.

Głównym przedmiotem negocjacji jest wkład z DNB, ponieważ on musi uzupełnić pozostałą lukę. Budżet UE z definicji nie może wykazywać deficytu. Państwa muszą dołożyć tyle, ile Unia wyda.

Warto jednak nadmienić, że w odniesieniu do Austrii, Danii, Niemiec, Holandii i Szwecji – czyli pięciu z sześciu sygnatariuszy listu – stosuje się już specjalny rabat, by nieco zrównoważyć ich wpłaty z otrzymywanymi z kasy UE funduszami. Chociaż oczywiście i tak netto wpłacają one więcej, ponieważ ich korzyści wynikają przede wszystkim z uczestnictwa we wspólnym rynku. Według zacytowanych w liście danych podpisane państwa odpowiadają łącznie za 40 proc. składek państw członkowskich. W związku z tym domagają się ograniczenia skali kolejnych WRF. Propozycję poprzedniej prezydencji (cypryjskiej), by zmniejszyć budżet UE o 2 proc. względem projektu Komisji, uznali za zdecydowanie zbyt łagodną.

To jednak nie wszystkie postulaty skąpej szóstki. Według niej należy też dokonać przesunięć w dwóch największych składowych unijnych funduszy.

Pierwsza pod nóż poszłaby oczywiście polityka spójności, która odpowiada za 30 proc. wydatków UE. To jeden z głównych mechanizmów dążenia do konwergencji, czyli zmniejszenia różnic rozwojowych między regionami Wspólnoty. To dzięki polityce spójności Polska tak szybko się rozwijała po 2004 r. – szczególnie w zakresie infrastruktury. Fundusze spójności trafiają do państw członkowskich, których PKB na głowę liczone według parytetu siły nabywczej jest niższe od 90 proc. średniej UE. Są one rozdzielane między kraje na podstawie ich wielkości oraz zapóźnienia. Od 2004 r. byliśmy największym beneficjentem polityki spójności, ale w nadchodzącej perspektywie to się może diametralnie zmienić. Po pierwsze, według danych Międzynarodowego Funduszu Walutowego w tym roku osiągniemy już 88 proc. średniej UE, chociaż dane MFW są nieco zawyżone względem Eurostatu (81 proc. w 2025 r.), ponieważ fundusz bierze pod uwagę tylko stałych rezydentów kraju, bez uwzględnienia rzeszy krótkoterminowych imigrantów zarobkowych. Raczej nie ma więc ryzyka, byśmy w 2027 r. przebili 90 proc. zgodnie z metodologią unijną. Tak czy inaczej będziemy bardzo blisko, więc pula dla Warszawy będzie odpowiednio niższa.

Minimalnie poniżej tego progu mogą się znaleźć jeszcze dwa duże państwa UE – według MFW Hiszpania już w tym roku spadła poniżej Polski (Portugalia zrobiła to już dawno), a Włochom nie brakuje do tego zbyt wiele. To zaś oznacza, że kolejka chętnych do skorzystania z polityki spójności się wydłuży. Postulaty „szóstki skąpców" są więc bardzo niekorzystne zarówno dla Polski wraz z większością regionu Europy Środkowej i Wschodniej (poza Czechami czy Słowenią), jak i dla Europy Południowej. W tym wszystkim są też jednak dobre informacje – będzie znacznie łatwiej znaleźć koalicję blokującą pomysły zamożnej Północy, ponieważ głosy Rzymu i Madrytu ważą dużo więcej niż Bratysławy czy Budapesztu.

Koniec sympatycznych czasów

Kolejne przesunięcia mogą dotknąć Wspólną Politykę Rolną (WPR), której udział w wydatkach UE także oscyluje wokół 30 proc. W tym przypadku beneficjentów jest więcej, ponieważ zasadniczo pieniądze trafiają wszędzie tam, gdzie są użytkowane grunty rolne, poza tym przelicznik jest w tym przypadku korzystniejszy dla państw zamożnych. Trzeba pamiętać, że WPR powstała w celu wsparcia rolników nie z państw biednych, tylko z bogatych – żeby ci drudzy wytrzymali konkurencję ze strony tych pierwszych (a także, by wszyscy łącznie przetrwali konkurencję ze strony Afryki, Azji i Europy Wschodniej). Najwięcej do stracenia będą więc miały państwa starej UE, w których udział rolnictwa w PKB jest wysoki. To na pewno Grecja (aż 3,6 proc. PKB), Hiszpania (2,7 proc.) oraz Włochy (2,1 proc.). W Polsce także mamy stosunkowo wysoki udział produkcji rolnej w wartości dodanej. Wynosi on 2,5 proc. przy średniej UE 1,6 proc. PKB. Warto tu jednak dodać, że rolnicy stanowią silną grupę interesu w niektórych bardzo zamożnych państwach – m.in. we Francji i w Holandii, której premier podpisał wymieniony wyżej list. Ograniczenie WPR może więc być znacznie trudniejsze niż polityki spójności.

Dla Polski dużo istotniejsze będzie jednak zachowanie tej drugiej, która wspiera rozwój całego kraju, a nie tylko jednej grupy społecznej. Przed polskimi politykami niezwykle trudny okres szukania sojuszy i zawierania bardzo nieprzyjemnych kompromisów.

Na szczęście państwa niechętne wydawaniu pieniędzy stawiają także postulaty pozytywne – przynajmniej z perspektywy Warszawy. „Finansowanie powinno koncentrować się na wspólnych inwestycjach w bezpieczeństwo i obronę, konkurencyjność, innowacje oraz na walce z nieregularną migracją"

RYS. PATRYK KOCH, FOT. UNSPLASH (8), SHUTTERSTOCK (4), WIKIMEDIA COMMONS (1)

– pisze szóstka autorów odezwy. W tym aspekcie niewątpliwie można się z nimi zgodzić. Inwestycje w obronność to absolutna konieczność nie tylko z powodu zagrożenia agresywną polityką Kremla, lecz także w obliczu nowej odsłony globalnej rywalizacji. Unia Europejska planowała być – a nawet została – mocarstwem handlowym, które wywiera wpływ za pomocą swojej soft power, eksportu towarów oraz kształtowania standardów jakościowych i legislacyjnych na całym świecie. Niestety od trzeciej dekady XXI w. wywieranie wpływu będzie zależne również od zdolności do użycia swojej siły militarnej, ponieważ argumenty siły zwyczajnie weszły na stałe do słownika stosunków międzynarodowych jako dopuszczalne i zrozumiałe. Można się na to oburzać, ale trudno udawać, że się tego nie widzi. Do tego już Mario Draghi w swoim słynnym raporcie, który wybudził europejskie elity ze smacznej drzemki, zwrócił uwagę na znaczenie kwestii konkurencyjności oraz innowacyjności. Z priorytetów wy-

eprasa.pl 9067552c20

padła za to nagle polityka klimatyczna, a jej miejsce zajęła twarda polityka migracyjna.

Unia Europejska ewidentnie szykuje się na dołączenie do globalnej rywalizacji mocarstw, więc dotychczasowe wartości – konwergencja, równość czy zielona transformacja – będą powoli odchodzić do lamusa. Można przypuszczać, że także wewnątrz UE konkurencja stanie się bardziej intensywna, o ile nie wręcz zażarta. Warszawa całkiem dobrze wykorzystała pierwsze dwie dekady członkostwa w UE, jednak w tym sympatycznym okresie politycy zasadniczo musieli po prostu nie przeszkadzać w zachodzących zmianach. Teraz sami będą musieli w te zmiany aktywnie się włączyć. ©℗

Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl

Mity o różnorodności

Nauczyli nas regułek i dat – śpiewa zespół Turbo w hicie „Dorosłe dzieci". Nauczyli nas też, że im więcej różnorodności, tym lepiej. O ile jednak wyuczone regułki i daty bywają prawdziwe, o tyle to drugie nie

Sebastian
Stodolak

Pamiętacie, co jest oficjalnym mottem Unii Europejskiej? „In varietate concordia", z łaciny: „Zjednoczona w różnorodności". Oczywiście, że pamiętacie. UE przypomina o tym wyjątkowo często, próbując w niewystarczająco różnorodnych dziedzinach różnorodność zaprowadzić. By było wszędzie tak samo różnorodnie, rzecz jasna.

Mają w tym pomóc akty prawne, takie jak dyrektywa o kobietach w zarządach spółek giełdowych, bankowa dyrektywa CRD IV, dyrektywa o raportowaniu w zakresie zrównoważonego rozwoju CSRD czy program Horyzont Europa.

Jednakże, gdy się w te akty wczytać, okazuje się, że w większości są łagodne i wręcz – w porównaniu z szumnymi deklaracjami eurokratów – mało ambitne. Czyżby w Unii nie wierzono we własne deklaracje i różnorodność nie była aż tak wielkim błogosławieństwem? ▷

eprasa.pl 9067552c20

Hipoteza różnorodności

Jest jeszcze jedna możliwość: do eurokratów w końcu dociera to, co o różnorodności mówi nauka. Co prawda, trzymają się jeszcze starej narracji, ale w swoich działaniach korygują kurs. Nie – nie chodzi o to, że heterogeniczność polityczna, społeczna czy gospodarcza nagle okazała się w świetle badań czymś niepożądanym. Przeciwnie – jest wskazana i korzystna. Ale czasami korzyści z niej są albo przecenianie, albo ujawniają się tylko do momentu przekroczenia pewnego progu, albo nie ujawniają się wcale, jeśli różnorodność rozumie się zbyt arbitralnie i poza kontekstem.

Ten ostatni przypadek ma miejsce w samej nauce. „W ostatnich dziesięcioleciach mnożyły się twierdzenia dotyczące wartości i korzyści płynących z różnorodności, stając się współczesnym świeckim credo, które ożywia ducha niemal wszystkich elitarnych instytucji świata anglojęzycznego. Weźmy na przykład oświadczenie prezydenta Billa Clintona wygłoszone podczas orędzia o stanie państwa, że «nigdy, przenigdy nie wolno nam wierzyć, że nasza różnorodność jest słabością. Jest ona naszą największą siłą». Obecnie takie twierdzenia dotyczące wartości i korzyści płynących z różnorodności, co nazywamy «hipotezą różnorodności», są powszechne, a nawet aksjomatyczne" – piszą Jordan P. Beck, Zachary Patterson i Samuel Wilson w opublikowanym we wrześniu 2026 r. przeglądzie literatury.

Dokonują w nim analizy badań dotyczących wpływu różnorodności na wyniki w naukach przyrodniczych i społecznych. Przegląd obejmuje 104 prace z lat 1982–2025, które przeszły rygorystyczną selekcję. Konkluzje są zdumiewające. Okazało się, że jedynie od 15 proc. do 28 proc. wyników uwzględnionych badań jest spójnych z hipotezą różnorodności. „(....) Istnieje niewiele dowodów empirycznych na to, że różnorodność poprawia wyniki naukowe i/lub ich oddziaływanie. W rzeczywistości (...) większość dowodów wydaje się wskazywać na coś zupełnie przeciwnego" – podsumowują naukowcy.

I tu ciekawostka: dowody wspierające hipotezę różnorodności pojawiały się w pracach skoncentrowanych na różnorodności w zakresie tego, jakie dyscypliny reprezentowali członkowie zespołów badawczych. Tyle że akurat tego rodzaju różnorodność brało pod lupę zaledwie 18 analizowanych prac. Najczęściej stosowanym wskaźnikiem różnorodności, który wykorzystywano, badając różnorodność w nauce, były płeć i rasa, czyli kryteria demograficzne i etniczne, które zderzano z liczbą publikacji, czyli najczęściej stosowanym wskaźnikiem naukowej płodności.

Z pracy Becka, Pattersona i Wilsona można tymczasem wnioskować, że korzystna dla nauki jest różnorodność interdyscyplinarna w zespołach badawczych, bo umożliwia spojrzenie na jeden problem z wielu często rozbieżnych perspektyw, które łączy metoda naukowa. Pozwala ludziom posługującym się tym samym językiem, językiem nauki, na głębsze zrozumienie problemu. Różnorodność w nauce może być zatem korzystna tam, gdzie chodzi o różne światopoglądy, a nie płeć czy tożsamość narodową.

Wspomniany na wstępie program Horyzont Europa promuje różnorodność w nauce rozumianą przede wszystkim jako równowagę płci. Jeśli moja optymistyczna hipoteza jest słuszna i eurokraci faktycznie słuchają tejże nauki, program prędzej czy później zreformują.

Zbyt różnorodni, by ufać

Choć unijne hasło „Zjednoczona w różnorodności" ma bardzo szerokie zastosowanie, to oryginalnie dotyczyło przecież przede wszystkim kwestii ustrojowych i społeczno-kulturowych. Miało opisywać unikatowość europejskiego eksperymentu. W 2000 r., gdy motto przyjęto, Unia Europejska liczyła 15 państw zamieszkiwanych przez ok. 60–100 grup narodowościowych. Dzisiaj, w 2026 r., do UE należy 27 krajów, przy czym na jej terenie mieszkają przedstawiciele właściwie wszystkich oficjalnie uznawanych państw świata (ponad 190). Ta różnorodność jest wynikiem otwartości migracyjnej i faktu, że Stary Kontynent oferował gościom z całego świata „European Dream".

W odniesieniu do tej różnorodności przyjęto – niemal aksjomatyczne – założenie, że jest ona czymś jednoznacznie pozytywnym. Założenie to wyrosło z ideologii multikulturalizmu – poglądu, że należy nie tylko pozwalać na imigrację, lecz także robić wszystko, by imigranci mogli w pełni zachować odrębność kulturową. Wybrzmiewała w tym liberalna wiara w to, że istnieje pewien rdzeń wartości, co do których wszyscy mogą się zgodzić i że możliwe jest zaprojektowanie instytucji, które na straży tych wartości staną. Efektem miało być zróżnicowane, ale żyjące ze sobą w harmonii społeczeństwo. Jednym z wielkich teoretyków takiego podejścia był niemiecki filozof Jürgen Habermas. Uważał, że społeczeństwo nie potrzebuje jednolitej kultury narodowej, a co za tym idzie, praktyk asymilacyjnych – wystarczy, że jego członkowie akceptują demokratyczne fundamenty.

Czy to stanowisko pozbawione jest racji? Cóż, z jednej strony wiemy, do czego prowadzi brak otwartości: do implozji i upadku. Jak pokazuje Johan Norberg w książce „Apogeum ludzkości", każdy historyczny szczyt cywilizacyjny skorelowany był z pluralizmem wartości, wolnością i otwartością na to, co obce i nowe, a każdy cywilizacyjny zmierzch przeciwnie: z zamykaniem się, okopywaniem się i nieufnością wobec tego, co nieznane. Z drugiej strony, nauczeni doświadczeniem, wiemy już, że pewne systemy światopoglądowe zaimportowane do Europy wraz z imigrantami są nie do pogodzenia z ideą demokracji liberalnej. Z chęcią – korzystając z jej narzędzi – zdominowałyby Europę, by potem ją zastąpić np. teokracją.

> W zbyt różnorodnym otoczeniu zanika wspólnota, także wspólnota wartości, co w rezultacie podkopuje demokrację, czyniąc ją podatną na ekstremizm

To wielkie ostrzeżenie formułowane w pisarstwie Francuza Michela Houellebecqa.

Choć politycy mają usta pełne frazesów o pełnej otwartości dla mniejszościowych grup etnicznych czy religijnych i ich praktyk, to coraz częściej prowadzą politykę o przeciwnym wektorze. W Szwecji dzisiaj właściwie dopłaca się imigrantom do powrotu do kraju pochodzenia, znacząco podnosząc od 2026 r. granty repatriacyjne dla legalnie przebywających cudzoziemców, którzy zrobią to dobrowolnie, a we Francji ustawowo zakazuje się noszenia burek w miejscach publicznych. Wszystko to dzieje się tak, jakby zorientowano się, że jednak po przekroczeniu pewnego poziomu różnorodność szkodzi.

A to znów zjawisko potwierdzone badaniami. Peter Thisted Dinesen, Merlin Schaeffer i Kim Mannemar Sønderskov w przeglądzie „Ethnic Diversity and Social Trust" z 2020 r. zebrali 1001 oszacowań z 87 badań prowadzonych głównie w krajach rozwiniętych i poddali je metaanalizie. Wynik? Im bardziej zróżnicowane etnicznie otoczenie, tym niższe zaufanie społeczne. Zależność ta utrzymuje się po uwzględnieniu ubóstwa, przestępczości, statusu społeczno-ekonomicznego i pochodzenia samych badanych. Najsilniej cierpi zaufanie do sąsiadów i najmocniej widać to na poziomie osiedla, tam, gdzie z obcymi styka się człowiek na co dzień. Można powiedzieć, że ludzie w zbyt różnorodnym otoczeniu „zamykają się w sobie", tracąc zaufanie także do własnej grupy. Zanika wspólnota, także wspólnota wartości, co w rezultacie podkopuje demokrację, czyniąc ją podatną na różnego typu ekstremizm.

Efektownie, ale nie efektywnie

Różnorodność w nauce jest dobra, o ile jest właściwie rozumiana. Różnorodność w społeczeństwie jest dobra, o ile nie przekracza pewnego poziomu. A co z różnorodnością w gospodarce?

Tu, wydawać by się mogło, im więcej różnorodności, tym lepiej, prawda? Prowadzi ona do uzupełniania się talentów, co zwiększa produktywność, innowacyjność i zyskowność. Takim przekonaniem podszyta jest unijna legislacja mająca zagwarantować co najmniej 40-proc. udział „płci niedoreprezentowanej" wśród członków niewykonawczych, czyli w radach nadzorczych, albo co najmniej 33-proc. we wszystkich organach spółki łącznie. W kontekście tego typu legislacji szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen podkreślała publicznie, że „mocno wierzy w siłę różnorodności". Hadja Lahbib, komisarz ds. równości, podkreśla, że „różnorodność nie jest kosztem czy kompromisem", a jej poprzedniczka Helena Dalli wskazywała na płynące z różnorodności „korzyści w postaci innowacji i wzrostu". Czy te przekonania mają uzasadnienie w faktach? Mają, ale – znów – jest ono ograniczone. Prawda ponownie domaga się tu niuansowania.

Weźmy taką Norwegię, która w 2003 r. nakazała, by 40 proc. członków rad nadzorczych stanowiły kobiety. Ambitnie, bo poziom wyjściowy stanowił 9 proc. Poziom ten udało się osiągnąć po czterech–pięciu latach. Czy związany był z istotnym polepszeniem wyników spółek? Nie. Akcjonariusze na tym nie skorzystali. Oczekiwanie, że w UE będzie inaczej, nie ma podstaw. Zwłaszcza że gdy przyjmowano dyrektywę Women on Boards w 2022 r., średnio w UE kobiety stanowiły już niemal 35 proc. członków rad niewykonawczych (choć z dużymi różnicami między poszczególnymi krajami).

Unijna mitologia o zbawiennym wpływie różnorodności płciowej w zarządach na zyskowność spółek była budowana m.in. na podstawie czterech raportów firmy konsultingowej McKinsey publikowanych w latach 2015–2023. Dame Vivian Hunt, będąca współautorką wszystkich czterech, w wywiadzie dla telewizji Bloomberg przekonywała: „Z naszych danych wynika, że firmy posiadające bardziej zróżnicowane zespoły kierownicze odnoszą większe sukcesy. Wiodące firmy z naszych zbiorów danych dążą do różnorodności, ponieważ jest to biznesowa konieczność i przynosi realne wyniki biznesowe".

Amerykańscy ekonomiści Jeremiah Green i John R.M. Hand postanowili te twierdzenia zweryfikować, „stosując podejście oparte na testach empirycznych firmy McKinsey w odniesieniu do przedsiębiorstw wchodzących w skład indeksu S&P 500", jak tłumaczą w pracy „McKinsey's Diversity Matters/Delivers/Wins Results Revisited" z 2024 r. Efekty dla hipotezy różnorodności były rozczarowujące. „Stwierdziliśmy brak statystycznie istotnych powiązań między miarami różnorodności rasowej i etnicznej kadry kierowniczej opracowanymi przez firmę McKinsey, a nie tylko marżą EBIT skorygowaną o uwarunkowania branżowe, ale także skorygowanym o uwarunkowania branżowe wzrostem sprzedaży, marżą brutto, rentownością aktywów, rentownością kapitału własnego oraz całkowitą stopą zwrotu dla akcjonariuszy" – konkludują badacze.

Ich wyniki okazały się nieodległe od tych zaprezentowanych również w 2024 r. w „The Relationship Between Team Diversity and Team Perfor-

eprasa.pl 9067552c20

mance", największej i najstaranniejszej metaanalizie przedmiotu, jaką dotychczas przeprowadzono. Wzięto w niej pod uwagę aż 615 raportów badawczych. Okazało się, że – owszem – istnieje pozytywny i statystycznie istotny związek wyników ekonomicznych osiąganych przez zespoły pracownicze z różnorodnością, ale jest on tak mały, że w praktyce pomijalny. Tłumaczy on poniżej 1 proc. różnic między wynikami zespołów. Reszta różnic to pochodna kompetencji, zarządzania, zasobów, a nawet czystego szczęścia. Autorzy pracy wskazują na znaczenie kontekstu dla oddziaływania różnorodności: „Korelacje były bardziej pozytywne, gdy zadania charakteryzowały się większą złożonością lub wymagały kreatywności i innowacyjności, a także gdy zespoły działały w środowiskach o niższym poziomie kolektywizmu i dystansu władzy" – zauważają.

„Rozczarowująca" nauka

Wyniki badań naukowych bardzo często nas rozczarowują. Uparcie bowiem nie chcą potwierdzać naszych silnych przekonań w 100 proc. Wskazują na ich ograniczenia, wynajdują kontrprzykłady i uświadamiają nam obszary niepewności. Dokładnie taka sytuacja ma miejsce w przypadku wpływu różnorodności na rzeczywistość. Na głowy tych, którzy uważają, że jest jednoznacznym błogosławieństwem, nauka wylewa zimny prysznic. Nie przesadzajcie z tą różnorodnością, a – co więcej – nie próbujcie jej wymuszać.

Dlaczego? Bo skutek może być odwrotny do zamierzonego. Weźmy przykład z USA.

Po tym, gdy w latach 90. i pierwszej dekadzie XX w. amerykańskie banki wypłaciły ponad 0,5 mld dol. w odszkodowaniach za praktyki dyskryminacyjne, korporacje zaczęły masowo wysyłać menedżerów na obowiązkowe szkolenia z różnorodności.

Tyle że – jak wyjaśniają Frank Dobbin i Alexandra Kalev w artykule „Why Diversity Programs Fail" z 2016 r. – „pięć lat po wprowadzeniu szkoleń firmy nie odnotowały żadnej poprawy w zakresie odsetka białych kobiet, czarnych mężczyzn i Latynosów na stanowiskach kierowniczych, a odsetek czarnych kobiet faktycznie spadł średnio o 9 proc., podczas gdy liczba mężczyzn i kobiet pochodzenia azjatyckiego zmniejszyła się o 4–5 proc. Trenerzy twierdzą, że ludzie często reagują na obowiązkowe kursy gniewem i oporem, a wielu uczestników faktycznie ujawnia większą wrogość wobec innych grup po ich zakończeniu". Na szczęście – trzeba oddać eurokratom sprawiedliwość – unijne dyrektywy równościowe mają zwykle charakter proceduralny, a nie przymusowo-wynikowy: firmy muszą prowadzić nabory według jasnych, neutralnych kryteriów, ślepych na płeć i inne niemerytoryczne wskaźniki. Dlatego na razie masowych i obowiązkowych szkoleń z różnorodności w UE nie uświadczysz.

Mimo to, przyznać też trzeba, że przez wiele dekad polityki europejskie na różne sposoby próbowały wspierać różnorodność w sposób, który teraz odbija się Unii czkawką. Potoki słów wylane w tym temacie w połączeniu z rozmaitymi narzędziami prawnymi (nawet jeśli w istocie niezbyt inwazyjnymi) i z programami redystrybucji wytworzyły w społeczeństwach Europy wrażenie, że otwartość na różnorodność jest czymś, czego się od nich oczekuje i wymaga – za brak czego się karci. Możliwe, że w relacji do faktów wrażenie to jest przesadzone, ale istnieje – i jest na tyle silne, że buduje poparcie dla Zjednoczenia Narodowego we Francji, AfD w Niemczech czy Konfederacji Korony Polskiej w naszym kraju – to ugrupowania, których priorytetem jest jednolitość polityczna, kulturowa, społeczna.

W polskim życiu publicznym wciąż wielu tego nie rozumie. Szymon Hołownia, prezenter i polityk – może za Clintonem – powtarza, że „różnorodność jest naszą siłą, nie słabością". Adam Bodnar, były minister sprawiedliwości, podkreśla wagę różnorodności „w procesie budowania nowoczesnej organizacji". Sylwia Spurek, była europosłanka, przekonuje, że „różnorodność opłaca się wszystkim", a pisarka Katarzyna Tubylewicz jest przekonana, że heterogeniczności Europy „przynosi kreatywność, bogactwo doświadczeń, większe otwarcie na dialog, innowacyjność." Efektem takiej intensywnej proróżnorodnościowej narracji, w której brak niuansów i zastrzeżeń, jest ten sam gniew i wrogość, która była efektem obowiązkowych szkoleń dla amerykańskich menedżerów.

Na koniec jednak wróćmy do zalet różnorodności. Mimo wszystko jestem wielkim jej zwolennikiem w odmianie, którą już zasygnalizowałem w części o różnorodności w nauce: chodzi o różnorodność poznawczą. Opisuje ją szeroko w badacz społeczny z Uniwersytetu Michigan Scott E. Page w książkach „The Difference" i „The Diversity Bonus". W jego opinii do wzrostu czy też rozwoju prowadzą grupy, których członkowie prezentują odmienne heurystyki, modele rozumowania i sposoby reprezentowania problemu. Warunkiem brzegowym, by współpraca w środowisku różnorodnym w ten sposób była harmonijna i produktywna, są wspólny język i kryteria oceny i minimalny poziom kompetencji. Być może to najważniejsze wskazanie dla polityk – czy to unijnych, czy to krajowych – które powinni sobie wziąć do serca dzisiaj decydenci: umieć jasno odpowiedzieć, gdy ktoś zada im pytanie o to, wokół czego właściwie Europa jest zjednoczona w tej różnorodności? Czemu to właściwie ma służyć? ©℗

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Sebastian
Stodolak
wiceprezes Warsaw Enterprise Institute

PROMOCJA

eprasa.pl 9067552c20

Kraj

Im bliżej, tym ciszej

W Grzęsce mieszkańcy nie chcą rozmawiać o sprawcy. Wspominają księdza Staszka albo po prostu Staszka

Daria

Al Shehabi

korespondencja z Jarosławia

Jarosław, jest środa rano. W hotelu pytam, jak dojechać do Grzęski. Recepcjonistka wie, że jadę na pogrzeb. – To był taki wspaniały ksiądz. Wielka tragedia – mówi. Pytam o sprawcę. O nim rozmawiać nie chce. Wspomina jednak o dwóch Ukrainkach pracujących w opactwie. Jak słyszała, obie miały akurat w dniu zabójstwa wolne. Nie mówi, co miałoby z tego wynikać. Sama zaznacza, że nie wie, jak było. Pogłoska jednak już krąży.

Pod cmentarzem stoją strażacy. Stąd kierują samochody na dojazd do kościoła. Kawałek dalej – dwa radiowozy. Policji w Jarosławiu i okolicach jest od dnia zabójstwa o wiele więcej. Po ataku lokalne władze zdecydowały o dodatkowych zabezpieczeniach i zwiększeniu liczby patroli.

24 września około godz. 9.40 napastnik zaatakował nożem pięć osób w jarosławskim opactwie: trzech księży i dwie osoby świeckie. Ksiądz Stanisław zmarł. 31-letni obywatel Ukrainy został zatrzymany na miejscu. Teraz przebywa w szpitalu psychiatrycznym w Jarosławiu i nadal jest badany. Biegli stwierdzili u niego ostre zaburzenia psychotyczne. Na razie nie pozwalają one nawet na jego udział w postępowaniu.

Pięć dni po zabójstwie wciąż nie wiadomo więc, jaka sekwencja wydarzeń doprowadziła do tragedii. Wiadomo, kto zaatakował. Nie wiadomo – dlaczego.

Zło dobrem zwyciężaj

Pogrzeb zaczyna się o 11.00. Stoję na zewnątrz razem z tymi, którzy nie zmieścili się w kościele. Z głośników słychać homilię. Padają słowa „zło dobrem zwyciężaj" i wezwanie do przebaczenia. Nie po raz pierwszy. Dwa dni wcześniej ks. Adrian, jeden z rannych, apelował, by z czynu jednego człowieka nie czynić oskarżenia wobec całego narodu. Teraz, podczas pogrzebu, pada również prośba o modlitwę za sprawcę i „mądre decyzje władz państwowych".

Po mszy prezydencki minister Wojciech Kolarski odczytuje list od Karola Nawrockiego. Później razem z rodziną, księżmi, mieszkańcami i dziennikarzami rusza w kondukcie na cmentarz. To kilkaset metrów asfaltową drogą między kukurydzą a ziemniakami. Jak na niewielką Grzęskę ludzi jest całe morze.

Po pochówku, przed cmentarną bramą pytam siostrzenicę księdza, czy wybaczyłby również on. – Nie umiem odpowiedzieć za niego – mówi. Po chwili powtarza: – Nie umiem odpowiedzieć za niego, ale najprawdopodobniej tak. Pracował w Krośnie 13 lat z ludźmi bardzo cierpiącymi, w różnym stanie i różnego pochodzenia. Podejrzewam, że by wybaczył.

Nie chce mówić za niego. Chętniej mówi o nim. – To był mój kochany wujek. Cudowny. Kiedy potrzebowałam jakiejś rady, zawsze niesamowicie mi pomagał.

Pamięta jego prymicję. Była wtedy małą dziewczynką. – Niosłyśmy z siostrą na poduszeczce koronę cierniową. Teraz tę koronę mu założono. To takie bolesne, ale jednocześnie piękne pożegnanie, cała ta piękna ceremonia... Wujek nigdy by się takiej nie spodziewał, bo był bardzo skromnym człowiekiem.

– Ksiądz Stanisław to mój sąsiad zza płota – opowiada mi starszy mężczyzna. Znali się od dziecka. – Mówiłem do niego Staszek. To w porządku chłopak był. Skończył technikum elektryczne, a potem wstąpił do seminarium.

W tych rozmowach ksiądz z homilii i oficjalnego listu staje się Staszkiem. Święcenia przyjął w 1986 r., a mszę prymicyjną odprawił właśnie tutaj, w Grzęsce. Później pracował w kilku parafiach na Podkarpaciu, przez 13 lat był kapelanem szpitala w Krośnie, a ostatnich 16 lat spędził w jarosławskim opactwie. – To był nasz ksiądz, z Grzęski, nasz rodak. Bardzo spokojny, bardzo fajny. Skromny. Zawsze się do człowieka odezwał – opowiada pani Teresa. Często widywała go tu, na cmentarzu.

O Stanisławie mieszkańcy wsi mówią chętnie. Kiedy pytam o sprawcę, rozmowy szybko się urywają.

– My byśmy już nie chciały się wypowiadać – mówi jedna z kobiet. – Po prostu nie chcemy w ogóle o tym rozmawiać.

Z sąsiadem Stanisława i jego żoną rozmawiam dłużej. Oboje uważają, że za zbrodnię jest odpowiedzialny wyłącznie sprawca. Apel ks. Adriana przyjmują z najwyższą powagą. Po chwili jednak pojawiają się pytania, na które nie ma w tej chwili odpowiedzi.

– Skąd wiedział, gdzie jest kuchnia? Czy był tam wcześniej? I dlaczego akurat księża? – zastanawia się mężczyzna. – Nie można przez jednego człowieka oceniać wszystkich Ukraińców. Są wśród nich porządni ludzie. No znalazł się jeden taki i nawet nie wiadomo, dlaczego to zrobił – przerywa mu żona.

Na parkingu stoi samochód telewizji wPolsce24. Mężczyzna z okolicy prosi mnie, żebym zrobiła mu przy nim zdjęcie. Ustawia się, po czym instruuje mnie, żeby w kadrze zmieściło się więcej napisu. Księdza Stanisława osobiście nie znał. Sam przedstawia się za to bez pytania: – Polak, prawicowy katolik.

O zabójstwie dowiedział się z telewizji. Wysłuchał też apelu rannego ks. Adriana. – Piękne słowa. Nie powiedział ani jednego złego słowa o Ukraińcach. Przeciwnie, apelował, żeby powstrzymać się od nienawiści wobec nich. I bardzo dobrze. Niektóre partie do takiego hejtu nawołują. Ja przed nimi przestrzegam.

Zgoła inaczej na całą sprawę patrzy pan Mirosław. Na pogrzeb przyjechał spod Kielc, około 200 km. Księdza Stanisława również nie znał. Jego śmierć od początku umieszcza jednak w szerszej historii. – Ten pogrzeb, jak i całe zamieszanie po tym morderstwie, władze starały się wyciszyć. Kiedy w Bielsku-Białej kierowca nakrzyczał na dwie ukraińskie nastolatki, było: „Polak nakrzyczał na Ukrainkę!". A tutaj nagle wszyscy mówią, żeby nie wspominać o narodowości. Albo mówimy o narodowości, albo nie. Polakom we własnym kraju wolno mniej niż Ukraińcom.

Kiedy wspominam słowa ks. Adriana o przebaczeniu, Mirosław odpowiada Wołyniem. Miesiąc temu był na pochówku ofiar z Ostrówek i Woli Ostrowieckiej – wołyńskich wsi, których mieszkańców w 1943 r. zamordowali ukraińscy nacjonaliści. – Oni właśnie chcieli zło dobrem zwyciężać. Uwierzyli banderowcom, że nic im się nie stanie. Zostali wprowadzeni do stodół, do szkół, wypędzeni na rzeź. Gdyby podjęli walkę, część by się uratowała.

Te same słowa, które na pogrzebie były apelem o przebaczenie, tutaj znaczą coś innego. – Nie widzę dobrej woli z drugiej strony – mówi Mirosław. – Stawiają pomniki banderowcom. Jak u mnie jest wojna, to nie zadrażniam kontaktów z najbliższym przyjacielem. A my ich przyjęliśmy, otworzyliśmy granice, portfele, serca.

W tej opowieści Wołyń i śmierć ks. Stanisława układają się w jeden ciąg.

– To jest fala nienawiści Ukraińców do Polaków. To nie jest pierwszy czy dziesiąty taki przypadek. To kilkaset, może nawet idzie do tysiąca.

– Skąd ta liczba?

– Trzeba byłoby w internet wejść i poszukać.

Ukrainiec abstrakcyjny

Po powrocie opowiadam o tych rozmowach Marcinowi Piotrowskiemu, socjologowi związanemu z fundacją Folkowisko, który od lat pracuje na polsko-ukraińskim pograniczu. Najbardziej interesuje mnie różnica między rozmowami, które przeprowadziłam w Grzęsce, a obrazem tej samej historii w mediach społecznościowych. Piotrowski zna ten rozdźwięk.

eprasa.pl 9067552c20

FOT. DAREK DELMANOWICZ/PAP

Uroczystości pogrzebowe ks. Stanisława Zbojnowicza. Grzęska, 29 września 2026 r.

– Gdybym patrzył wyłącznie na internet, powiedziałbym, że stanęliśmy na granicy linczu i pogromu. Ilość agresji jest przerażająca. Ale kiedy zaczyna się z człowiekiem normalnie rozmawiać, uruchamiają się zupełnie inne relacje.

Opowiada o swoim dziadku. – Potrafił mówić o Żydach jako grupie bardzo źle. Ale kiedy rozmowa schodziła na konkretnego człowieka, mówił: „Symcha? Świetny człowiek, zawsze można było na niego liczyć". Można mieć w głowie stereotyp całej grupy, a jednocześnie zupełnie inaczej traktować człowieka, którego się zna.

Z Ukraińcami jest podobnie. Łatwiej myśleć stereotypami o całej grupie niż o konkretnym człowieku. Na pograniczu obraz „abstrakcyjnego Ukraińca" jest dodatkowo obciążony historią.

W mediach społecznościowych bardzo szybko zaczęły się pojawiać komentarze: „znowu się zaczęło", „tak jak na Wołyniu", „znowu mordowanie w kościołach i palenie".

– Historykiem nie jestem, ale z tego, co wiem, UPA nie paliła ludzi w kościołach. Pamięć zbiorowa nie jest kroniką. Nie przechowuje przeszłości w osobnych szufladach, z datą i przypisem. Łączy fakty z rodzinnymi opowieściami, obrazami i emocjami. Dlatego wydarzenie z 2026 r. może niemal natychmiast uruchomić historię z 1943 r. I to dotyczy zarówno Polaków, jak i Ukraińców – mówi Piotrowski.

W sieci – przez algorytmy – łatwo też nabrać przekonania, że wokół wszyscy myślą podobnie. – W tłumie człowiek pozwala sobie na więcej. Internet potrafi stworzyć taki tłum: widzimy setki podobnych komentarzy i sami stajemy się odważniejsi, bardziej agresywni. Anonimowość jeszcze to ułatwia – mówi Piotrowski.

Zwraca uwagę na jeszcze jedną rzecz. – Mam wrażenie, że część osób najbardziej nakręcających tę historię przyjeżdża z zewnątrz. Dla miejscowych Ukrainiec często nie jest abstrakcyjną postacią. To sąsiad, pracownik, rodzic dziecka ze szkoły. Relacje są bardziej skomplikowane niż to, co widać w internecie – mówi.

Ten obieg nie kończy się po polskiej stronie internetu. Fundacja Folkowisko organizuje turnusy wytchnieniowo-terapeutyczne dla kobiet ze wschodu Ukrainy, które straciły mężów w czasie wojny. Przyjeżdżają do Polski razem z dziećmi. – W Ukrainie bardzo dużo mówiło się o aktach agresji wobec Ukraińców w Polsce. Dwie rodziny z ostatniego turnusu zrezygnowały z wyjazdu właśnie z tego powodu – mówi Piotrowski.

Maczeta pojawia się o 11

Czy po zabójstwie księdza Ukraińcy mieszkający w Jarosławiu mają się czego bać? Pytam o to burmistrza Marcina Nazarewicza. – Moim zdaniem mogą się czuć bezpiecznie – odpowiada.

W mieście jest zameldowanych 374 obywateli Ukrainy. Ilu rzeczywiście mieszka w Jarosławiu, urząd nie wie. Nazarewicz nie widział na ulicach wybuchu antyukraińskiej agresji. Były żałoba, modlitwy, Marsz Milczenia. Zupełnie inny obraz zobaczył w internecie.

Pierwsza fałszywa informacja pojawiła się właściwie natychmiast. – Do ataku doszło przed godz. 10. Około 11 w mediach społecznościowych krążyło już, że sprawca biega po Jarosławiu z maczetą. Tymczasem policja zatrzymała go na miejscu – mówi Nazarewicz.

Maczeta nie istniała, ale informacja o niej zaczęła wpływać na to, co się działo w mieście. Władze uznały, że nie zdążą zdementować plotki przed końcem lekcji najmłodszych uczniów. Dyrektorzy poprosili więc rodziców, żeby osobiście odebrali dzieci ze szkół.

Potem pojawiła się informacja, że zmarł drugi z zaatakowanych księży. Również nieprawdziwa. W sieci mnożyły się też hipotezy o sprawcy: miał być żołnierzem, uczestnikiem wojny, agentem, człowiekiem związanym z Rosją. Każda kolejna wersja wyprzedzała oficjalne ustalenia.

– Szybkość internetu i mediów społecznościowych z nami wygrywa. Ludzie szukają informacji, które odpowiadają emocjom, które w danej chwili przeżywają. I chcą w nie wierzyć – mówi burmistrz.

Problem był tym większy, że jednocześnie brakowało jednej informacji – o motywie. Pierwsze wiadomości, które dostał Nazarewicz, mówiły o „akcie terroryzmu" w kościele. Nikt nie wiedział wtedy, czy istnieje dalsze zagrożenie. W mieście zwiększono liczbę patroli, dodatkowo zabezpieczono szkoły, przedszkola, żłobki, instytucje kultury i obiekty sportowe. – Dwie, trzy godziny po ataku nikt nie mógł nam zagwarantować, że za chwilę coś podobnego nie wydarzy się w innym miejscu. Nie znaliśmy motywu, więc musieliśmy brać pod uwagę różne scenariusze – tłumaczy burmistrz.

Po posiedzeniu sztabu kryzysowego Nazarewicz mówił, że służby przygotowują się również na sytuacje, w których ktoś będzie chciał „w sposób bardzo ekspresyjny pokazać swoje emocje". W internecie „burmistrz wysłał policję na mieszkańców Jarosławia, żeby chronić przed nimi Ukraińców". – Nie zarządzam policją i nie mogę jej wydać żadnej dyspozycji. Nie ode mnie zależy, ile patroli jest na ulicach – tłumaczy Nazarewicz.

Na prawicowych profilach w mediach społecznościowych zaczęły się pojawiać wygenerowane grafiki z jego wizerunkiem. Pod nimi tysiące komentarzy. Miejscy urzędnicy zaczęli regularnie obserwować również komentarze pod oficjalnymi profilami Jarosławia. Najbardziej brutalne ukrywają, autorów nie blokują.

– Jeśli kogoś zablokujemy, za chwilę zrobi zrzut ekranu i napisze, że burmistrz cenzuruje mieszkańców. To może jeszcze bardziej podgrzać sytuację – mówi.

Ewa Zajączkowska-Hernik z Konfederacji zarzuciła władzom, że zamiast koncentrować się na sprawcy, „kierują uwagę" na polskich obywateli. W tym samym wpisie jako fakt podała, że napastnik był żołnierzem ukraińskiej armii. Kilka dni później ambasador Ukrainy Wasyl Bodnar mówił, że według informacji uzyskanych od matki podejrzanego ten nigdy w wojsku nie służył.

Nazarewicz widzi, jak ta opowieść schodzi z mediów społecznościowych do codziennych rozmów. Dzień przed naszym spotkaniem przekonał się o tym we własnym domu. – Córka chodzi do ósmej klasy. Jej koledzy mówią: „Mamy burmistrza, który broni Ukraińców". Widać, do kogo to dociera. Rodzic często nawet nie wie, co dziecko czyta w internecie, więc nie ma szansy powiedzieć mu: „słuchaj, to nieprawda" – mówi.

– Jestem przekonany, że gdyby nie osoby, które przyjeżdżają z zewnątrz, byłoby spokojnie. Przyjeżdżają i próbują naszym mieszkańcom wmawiać, co mają robić, jak mają myśleć – dodaje Nazarewicz.

Marsz Milczenia zorganizowała mieszkanka Jarosławia, inni przyszli, jak mówi burmistrz, żeby przejść w ciszy, oddać szacunek zabitemu księdzu i okazać troskę o rannych. – Ładnie się zachowali – ocenia Nazarewicz. Na marszu pojawiły się jednak również osoby spoza miasta. Jedna z nich przemawiała do uczestników. Na 10 października jest zapowiadana kolejna manifestacja. Burmistrz obawia się, że tym razem przebieg wydarzeń może nie być tak spokojny.

Piotrowski zwraca uwagę, że dla wielu mieszkańców pogranicza relacje z Ukraińcami są częścią codzienności. Przyjezdny może przywieźć ze sobą gotową opowieść o Polakach i Ukraińcach. Na miejscu zderza się ona z relacjami między konkretnymi ludźmi.

Im bliżej Grzęski i ludzi, którzy znali ks. Stanisława, tym mniej w moich rozmowach wielkich opowieści o Polakach i Ukraińcach. Są za to szczegóły. Sąsiad pamięta chłopaka zza płota. Siostrzenica – wujka, do którego dzwoniła po radę. Im dalej od miejsca tragedii, tym częściej jest polskim księdzem, a sprawcą jest Ukrainiec. To wystarcza, żeby do śmierci ks. Stanisława dopisać znacznie większą opowieść.

Cmentarz, na którym spoczął, ks. Stanisław odwiedzał niemal codziennie. Przychodził na grób rodziców bez względu na pogodę. Sąsiedzi pamiętają nawet porę.

– Prawie zawsze tak koło 12.

– Na Anioł Pański. ©℗

W pałacu siedzi wetoman

Karol Nawrocki robi wszystko, by torować prawicy powrót do władzy, i atakuje rząd. W sprawie opodatkowania nadmiarowych zysków firm paliwowych zakiwał się jednak i pogubił

Ze Zbigniewem

Konwińskim

rozmawia Marcin Fijołek (Polsat)

> Zna pan taki sport jak szachoboks?

Słyszałem coś o tym i domyślam się, do czego pan pije...

> Jedną rundę zawodnicy grają w szachy, w drugiej okładają się pięściami po założeniu rękawic bokserskich. Premier Donald Tusk mówił ostatnio, że w zasadzie trzeba z czystych szachów politycznych zrezygnować.

Nie chcemy w naszej polityce szachoboksu, ale dotychczasowe reguły gry zostały złamane przez łobuzów, którzy dawno przestali na nie zwracać uwagę, więc nie możemy udawać, że nic się nie dzieje. Premier mówił o szachach, mnie bliższe jest porównanie piłkarskie: proszę sobie wyobrazić mecz, w którym jedna z drużyn gra w 11, a druga wystawia 15, do tego z kastetami w rękach i jeszcze próbuje przekupić sędziego. Stwierdzenie, że to normalny mecz, byłoby kuriozalne. My w tej chwili, abstrahując od porównań sportowych, nie możemy wprowadzać zmian ustawami, ponieważ w Pałacu Prezydenckim siedzi wetoman, więc musimy sobie radzić w realiach, w których jesteśmy, żeby realizować to, co obiecaliśmy obywatelom.

> Usłyszy pan, że łamiecie tym samym porządek prawny. A może po prostu trzeba uznać to, że jest prezydent i z niektórymi zmianami zwyczajnie się nie uda, bo większości do obalenia weta w Sejmie nie macie.

Powtórzę zatem, że działamy w realiach, w których jesteśmy ▷

eprasa.pl 9067552c20

– natomiast zgodnie z prawem. Znajdzie pan polityków PiS, którzy będą lamentować nad łamaniem prawa, zapominając, jak ostentacyjnie deptali je w czasach swoich rządów. Tak, zapewne pan Święczkowski wyszpera jakąś mało poważną opinię prawną, którą będzie podpierał się w sytuacji niedopuszczania do orzekania w Trybunale Konstytucyjnym legalnie wybranych sędziów. On dziś mówi całej Polsce jak szatniarz w filmie Barei „Nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobisz?". Idźmy dalej, bo podobnie zachowuje się prezydent, który ma przecież obowiązek przyjąć ślubowanie od sędziów – nie robi tego. Mamy pozostawać bierni wobec tak niegodnych metod? Wyobraźmy sobie, że w 2015 r. Andrzej Duda jest wybrany na prezydenta, ale marszałek Sejmu nie zwołuje Zgromadzenia Narodowego i nie uznajemy głowy państwa. Dokładnie to robi dziś PiS, szukając prawnych wytrychów, które musimy przełamać.

Jak chcecie to zrobić? Miasteczko pod Trybunałem Konstytucyjnym kwitnie, prezes Kaczyński apeluje w nocy, by być gotowym na siłowe rozwiązanie. Czego mamy się spodziewać?

Wszystko we właściwym czasie. Kaczyński pod TK to był żałosny obrazek, który spowodował jedynie zalew memów w internecie. Śmiech ogarnia, gdy widzę, jak protestują przed TK ci, którzy z wymiaru sprawiedliwości chcieli zrobić polityczną pałkę na opozycję i demokrację, tworząc w dodatku bezpieczniki na wypadek przegranych wyborów. Trybunał to w zasadzie ostatni ich bastion, nie mogą się pogodzić z tym, że ta instytucja przestanie być skrajnie usłużna wobec PiS i Nawrockiego. Żadnych dantejskich scen nie będzie, ale prawo trzeba egzekwować. Na chłodno: jeśli sędziowie są legalnie wybrani, w trybie i logice, których nikt przez lata nie kwestionował, to powinni być dopuszczani do orzekania. Jeśli nie są dopuszczani, to łamane jest prawo i trzeba wyciągać konsekwencje wobec tych, którzy to robią. Tylko tyle i aż tyle.

Czyli będzie grany wariant z policją.

Niczego takiego nie zapowiadam, ale państwo musi być konsekwentne.

Ale ten szachoboks to szerszy problem. Nie ma większości do zmiany konstytucji, nie ma nawet szans na odrzucenie weta prezydenta do ustawy, a i tak – interpretacją ministra finansów – wprowadzamy dziś prawa dla par jednopłciowych. Pachnie falandyzacją prawa.

Rozumiem pańskie pytanie, ale nie możemy abstrahować od prawnego aspektu całej sprawy. Jesteśmy członkami Unii Europejskiej i nasz rząd to szanuje. Mamy w związku z tym obowiązki zapisane w traktatach, jak respektowanie wyroków TSUE, i musimy zagwarantować podstawowe prawa dla związków zawartych poza granicami Polski, wprowadzając je do porządku prawnego w Polsce. Chcieliśmy to zrobić ustawą o statusie osoby najbliższej, bardzo zresztą konserwatywną. Udało się stworzyć kompromisową ustawę i prezydent dalej mówi „nie", nie proponując nic w zamian. Mamy rozłożyć ręce i uznać, że nic się nie da?

Nie wiem, czy boczna furtka przez interpretacje ministra finansów i wytyczne dla skarbówki i ZUS są dobrą odpowiedzią. Część urzędników nie będzie tego realizować, już są straszeni przez polityków opozycji, że zostaną pociągnięci do odpowiedzialności, jeśli pójdą na ten „zamach na instytucję małżeństwa".

Proszę być poważnym: nikt nie chce żadnego zamachu na instytucję małżeństwa. To hasło nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Kto najgłośniej krzyczy w tej sprawie? Wielu prawicowców mających na swoich kontach rozwody, a gdy trzeba, również unieważnienie ślubu kościelnego. Nie chcę nikomu grzebać w życiorysach, życie się układa różnie, ale jeśli bierze się na sztandary takie wartości, a później Jarosław Kaczyński musi np. przywoływać posłów do porządku, żeby płacili alimenty... Trudno nazwać to inaczej niż hipokryzją. A na końcu jest pytanie o zdrowy rozsądek: co im wszystkim przeszkadza, żeby jakaś grupa naszych obywateli miała po prostu trochę łatwiejsze życie? Jeśli oderwać całą tę prawicową ideologię, to tak naprawdę chodzi zwyczajnie o ułatwienie życia obywatelom, i to przecież nie tylko parom jednopłciowym. Znów zerknijmy na chłodno:

Nie dajmy się zwariować, że wszystko musi być polityką, ideologią – stąd nasza determinacja, żeby wpływać na rzeczywistość choćby na poziomie pragmatycznych zmian w interpretacjach podatkowych

FOT. DAWID WOLSKI/EAST NEWS

Zbigniew Konwiński, przewodniczący Klubu Parlamentarnego Koalicji Obywatelskiej

w wielu krajach Unii Europejskiej podstawowe prawa w tej kwestii gwarantowały rządy konserwatywne, a nawet prawicowe. Nie dajmy się zwariować, że wszystko musi być polityką, ideologią – stąd nasza determinacja, żeby wpływać na rzeczywistość choćby na poziomie pragmatycznych zmian w interpretacjach podatkowych.

Po ile pan tankował benzynę w tym tygodniu?

7,96 zł. Mam taką lokalną stację, która ma ciut niższe ceny niż średnia w kraju...

Zazdroszczę. Ale za chwilę benzyna będzie za dychę. Nie możecie się tu po prostu dogadać z opozycją, z prezydentem?

To nie jest kolejna historia, w której źli politycy nie potrafią się dogadać. Przyjęliśmy ustawę, która jest dobrym prawem. Wystarczy jeden podpis prezydenta i mamy niższe ceny. Słyszę, że jego ludzie powołują się na rzekomą niekonstytucyjność, ale ten sam mechanizm przyjęli w 2023 r. politycy PiS w przypadku opodatkowania zysków Jastrzębskiej Spółki Węglowej i nikt wówczas z nich nie miał z tym problemu. Karol Nawrocki robi wszystko, by torować prawicy powrót do władzy i atakuje rząd. W tej sprawie zakiwał się jednak i pogubił. Przecież opodatkowanie nadmiarowych zysków, które nie wynikają z restrukturyzacji, nowego modelu zarządzania czy zmian w strukturach firmy, ale z wyższych cen ropy na świecie, nie jest niczym nowym ani w Polsce, ani w Europie. Co jest złego w tej ustawie? Dlaczego nie można jej po prostu podpisać, ulżyć wszystkim Polakom? Bo nienawiść zastępuje myślenie...

Macie plan B?

Zobaczymy, jak rozwinie się sytuacja. To są kosztowne rozwiązania, co pokazał już program CPN.

CPN był bez ustawy.

Ale zapłacili za niego wszyscy, przecież te pieniądze pochodziły z budżetu, czyli z podatków wszystkich obywateli. Tu na stole jest opcja, by skonsumować część nadmiarowych zysków koncernów paliwowych. Mam nadzieję, że prezydent zauważy, jakie są nastroje społeczne.

Jest też projekt prezydencki...

...który powiela rozwiązania z czasów PiS, które skończyły się brakiem paliw na stacjach. Nie chcemy powtórki tego blamażu.

Wybory w Krakowie były dla was dzwonkiem alarmowym?

Zawsze w takich wyborach, zwłaszcza gdy jest silny, lokalny i niepartyjny kandydat, poparcie układa się w poprzek tradycyjnych elektoratów. Nie można przełożyć wyborów w Krakowie na to, co czeka nas za rok w całej Polsce. Mamy Łukasza Gibałę, który zaburza te analogie, mamy przemieszczenie się wyborców, którzy czasem głosują w Krakowie, choć nie są tam zameldowani, mamy inną frekwencję... Można za to zauważyć, że kandydat PiS – bez konkurencji ze strony rywali z Konfederacji czy Rozwoju Plus – robi najgorszy wynik w historii. Ale to ich problemy. Chcemy zmobilizować w II turze zwłaszcza tych, którzy nie poszli głosować w I turze.

A może tak dobry wynik Gibały to nie tylko dowód na specyfikę Krakowa, lecz także sygnał o kończącym się duopolu? Może ludzie, zwłaszcza młodzi, mają dość wyboru między Kaczyńskim a Tuskiem? Może po prostu przeoczyliście jakąś zmianę.

Duopolu już nie ma... Bo jeśli chodzi o skalę całego kraju, to faktycznie nie jest to już wybór między Tuskiem a Kaczyńskim, tylko między Tuskiem a Kaczyńskim w towarzystwie Brauna, Mentzena, Bosaka, Morawieckiego... Żadne z badań opinii publicznej, nawet najlepszych dla prawicy, nie daje PiS i Kaczyńskiemu samodzielnej większości jak w latach 2015–2023. Prezes PiS niby dystansuje się od Brauna, bo przecież wszyscy wyczuwają jego skrajną prorosyjskość, ale jeżeli nie będzie innej możliwości, to będzie musiał dogadać się z Braunem i to zrobi, bo Nowogrodzka jest dziś dużo słabsza niż była, a otoczenie PiS, z którym muszą się w tej logice dynamiki na prawicy dogadać, jest coraz bardziej ponure.

Koalicja Obywatelska trzyma się w sondażach mocno, ale nie ma dziś Trzeciej Drogi, która dała wam większość w Sejmie, a i Lewica tańczy na krawędzi progu wyborczego.

Tak, sondaże są, jakie są, i widać, że koalicjanci są raz w lepszej, a raz w gorszej formie. Możemy mówić, że PSL jest zawsze niedoszacowany, że Lewica w ogólnopolskiej próbie poradzi sobie lepiej niż w Krakowie, ale za kilka tygodni trzeba będzie się zastanowić szerzej w Koalicji 15 października nad formułą startu, by żaden głos się nie zmarnował.

Kiedy jest czas na takie decyzje? Wiosną?

Nie będę dziś stawiał terminów, ale tak podpowiada zdrowy rozsądek. Do tego czasu każde ugrupowanie buduje się na własny rachunek, ale przyjdzie taki moment, w którym będzie trzeba na chłodno przeanalizować możliwe warianty.

Będzie jedna lista?

Moim zdaniem nic nie jest wykluczone, na stole jest każdy wariant. Ale na poważnie na to pytanie będzie trzeba sobie odpowiedzieć za pół roku. ©℗

eprasa.pl 9067552c20

Świat

Chiny nie chcą być drugą Ameryką

Ambicją Chin nie jest zastąpienie USA. Pekin dąży do świata, w którym Stany nie będą już jedynym mocarstwem zdolnym do ustanawiania globalnych reguł

Z Yu

Jie

rozmawia Maria Wiśniewska

Jesteśmy świeżo po szczycie USA–Chiny w Waszyngtonie. Moją uwagę zwróciły słowa Xi Jinpinga, który powiedział, że strategia MAGA – „Make America Great Again" – może współistnieć z „wielkim odrodzeniem narodu chińskiego", czyli ambicją przywrócenia Chinom pozycji silnego i wpływowego mocarstwa. Czy uważa pani, że chiński przywódca rzeczywiście tak myśli?

Sądzę, że tak. Nie jest to też nic nowego. Xi Jinping mówił o tym już na początku roku w rozmowie telefonicznej z Donaldem Trumpem, a następnie powtórzył tę myśl podczas majowego szczytu w Pekinie. Jeśli przyjrzeć się bliżej obu koncepcjom, wyrastają one z podobnego założenia: większego skupienia na sprawach wewnętrznych i wzmacnianiu własnego państwa. Koncentracja MAGA na amerykańskiej gospodarce i problemach krajowych jest pod tym względem zbliżona do kierunku, który od lat promuje Xi Jinping. Chiny chcą też uniknąć grzęźnięcia w problemach nadmiernie rozciągniętego supermocarstwa, czego przykładami są dla nich amerykańskie doświadczenia w Wietnamie i Afganistanie. Różnica polega jednak na tym, że MAGA jest przede wszystkim hasłem politycznym, podczas gdy w Chinach podobne założenia przekładają się na konkretne decyzje państwa: kolejne plany pięcioletnie czy działania Rady Państwa.

O jakie decyzje chodzi?

Dla Pekinu punktem wyjścia jest wzmacnianie odporności i potencjału państwa: gospodarki, zdolności do tworzenia miejsc pracy, niezależności technologicznej i bezpieczeństwa. Chiny coraz wyraźniej dostrzegają bowiem, jak bardzo ich gospodarka jest zależna od dostępu do zagranicznych technologii, rynków i globalnych łańcuchów dostaw. Zaostrzenie przez Zachód ograniczeń technologicznych wzmocniło w Pekinie przekonanie, że takie zależności mogą w pewnym momencie zostać wykorzystane przeciwko niemu. W tym kontekście koncepcja „wielkiego odrodzenia narodu chińskiego" nie oznacza w chińskiej narracji po prostu dążenia do nieograniczonego przywództwa nad światem. Chodzi raczej o przywrócenie Chinom bogactwa, siły i pozycji, które – w przekonaniu chińskich władz – powinny im przysługiwać. Jest to przedstawiane jako projekt mający swoje historyczne ramy, a nie jako otwarta w czasie ambicja globalnego przywództwa. W oczach Pekinu polityka zagraniczna nie służy więc ideologicznej ekspansji. Ma raczej ▷

Xi Jinping oraz Donald Trump wraz z żonami podczas szczytu USA–Chiny w Waszyngtonie. 24 września 2026 r.

FOT. BRENDAN ŚMIAŁOWSKI/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 9067552c20

kształtować takie otoczenie międzynarodowe, które będzie sprzyjało realizacji krajowych priorytetów.

Czy Trump podziela pogląd Xi, że oba mocarstwa mogą ze sobą współistnieć?

Trzeba tu dokonać rozróżnienia między samym Trumpem, jego administracją i Kongresem. Obecnie mamy do czynienia z dość interesującą sytuacją: relacje między Xi Jinpingiem a Trumpem wydają się względnie stabilne. W dużej mierze wynika to z podziwu, który amerykański prezydent odczuwa wobec Xi, i jego przekonania, że potrafi porozumieć się z chińskim przywódcą i skutecznie zarządzać tą relacją.

Nie sądzę jednak, żeby amerykańska administracja i Kongres w pełni podzielały to podejście. Wielu doświadczonych republikanów, ale również demokratów, nadal uważa rywalizację z Chinami za niezwykle istotną i jest przekonanych, że Stany Zjednoczone muszą tę rywalizację wygrać. Znaczna część administracji USA postrzega ją jako grę o sumie zerowej. Chiny patrzą na to inaczej.

Jak rozumiem, mówi pani o tym, że Pekin stawia dziś na „konstruktywną strategiczną stabilność" w relacjach z USA. Co to oznacza w praktyce?

Pekin uważa, że rywalizacja ze Stanami Zjednoczonymi jest czymś trwałym i nie skończy się szybko, ale jednocześnie Chiny bardzo potrzebują stabilności. Chińska gospodarka nie rośnie tak szybko, jak wielu decydentów by sobie życzyło, a kraj przechodzi dużą zmianę – od modelu opartego na inwestycjach w infrastrukturę i nieruchomości do gospodarki napędzanej nowymi technologiami i konsumpcją. To proces, który zajmie sporo czasu. Żeby go przeprowadzić, potrzeba spokojnego i stabilnego otoczenia.

Po drugie, Pekin nie patrzy na świat wyłącznie przez pryzmat tego, kto jest jego rywalem, a kto sojusznikiem. Podchodzi do tego bardzo praktycznie: kto dostarcza, kto kupuje i z kim można robić interesy. Do tego również potrzebne jest konkretne otoczenie – bezpieczne szlaki morskie i lądowe oraz rynki, na których można sprzedawać chińskie towary. Dlatego stabilność jest dla Chin tak ważna. Pytanie tylko, kto ma dziś największy wpływ na jej utrzymanie. Czy rzeczywiście są to Stany Zjednoczone?

Trump do światowej polityki wprowadza więcej chaosu niż spokoju. Czy uważa pani, że Chiny widzą to jako dobrą okazję, by wystąpić w roli gwaranta stabilności i kształtować świat na własnych zasadach?

Niekoniecznie. Pekin patrzy na to w sposób bardziej złożony. Chiny korzystają z międzynarodowego systemu stworzonego i wspieranego przez USA, dlatego nie zależy im na nagłym osłabieniu amerykańskiej potęgi. Rywalizacja z USA pokazała, że zbyt duża presja może doprowadzić do silniejszej współpracy państw Zachodu przeciwko Chinom.

Pekin przez lata był zadowolony ze stosunkowo stabilnej, stopniowo słabnącej Ameryki – wystarczająco silnej, by pobudzać chińskie ambicje, lecz przewidywalnej, by można było się do niej dostosować. Teraz USA mogą się wydawać pod pewnymi względami słabsze, ale są też mniej przewidywalne i bardziej zdolne do podejmowania błędnych decyzji militarnych. Dla Chin trudniejsze może być radzenie sobie z przeciwnikiem, który jest jednocześnie potężny i nieprzewidywalny, niż z takim, który pozostaje konsekwentny, nawet jeśli jest wrogo nastawiony.

Widzimy zarazem, że Chiny wprowadzają nowe pojęcia do słownika opisującego porządek światowy i tworzą alternatywne instytucje, w tym BRICS i Szanghajską Organizację Współpracy, które zachodnie rządy obserwują z podejrzliwością. Gromadzą one kraje o odmiennych perspektywach i interesach, w tym partnerów USA. Pekin dostrzega jednak, że wśród państw spoza Zachodu istnieje potrzeba stworzenia alternatywnych instytucji wobec tych zdominowanych przez Waszyngton, takich jak G7. Tworząc nowe instytucje i inicjatywy, Pekin przyspiesza przesuwanie się ośrodków władzy poza tradycyjne centra Zachodu. Dla Chin bycie architektem porządku międzynarodowego nie oznacza jednak koniecznie zastąpienia USA, lecz budowanie świata, w którym Stany nie będą już mógł samodzielnie ustalać wszystkich reguł ani decydować o tym, jakie zachowania są uznawane za zgodne z normami międzynarodowymi.

Dlatego władze chińskie nie żądają od państw, które chcą dołączyć do tych organizacji, by całkowicie porzuciły USA. Dobrym przykładem jest Egipt. Z jednej strony chętnie korzysta z chińskich technologii AI, a z drugiej równie chętnie kupuje amerykańskie technologie militarne i zawiera z Waszyngtonem porozumienia wojskowe. Innym są Indie, które od dawna mają trudne relacje z Chinami, a jednocześnie są pełnoprawnymi członkami zarówno BRICS, jak i SzOW. To pokazuje, że świat nie jest obecnie podzielony w prosty sposób na chiński i amerykański obóz.

A jak w tym układzie Pekin widzi Europę?

Pekin uważa, że ze względu na osiem dekad bliskich relacji transatlantyckich Europa nadal postrzega Chiny w dużej mierze przez pryzmat Stanów Zjednoczonych. Chiny chcą jednak uniknąć sytuacji, w której USA i Europa stworzą wspólny front przeciwko nim, ponieważ przy obecnym spowolnieniu gospodarczym trudno byłoby Pekinowi prowadzić jednocześnie wojny handlowe z USA i Europą. Dlatego ważne jest dla Chin utrzymywanie odpowiednich relacji z Europą.

Pekin nie ma jednak dużych oczekiwań, szczególnie po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Nie postrzega też Europy jako niezależnej siły geopolitycznej zdolnej do samodzielnej obrony dotychczasowej architektury bezpieczeństwa.

Europa nie jest dla Pekinu równorzędnym graczem?

Nie jest. Chiny uważają, że stały się mocarstwem równorzędnym Stanom Zjednoczonym, a cała reszta to tzw. mocarstwa średnie. Oczywiście wiele osób się z tym nie zgadza, ale taka właśnie jest perspektywa Pekinu. Myślę, że częściowo wynika to również z uporu samych Europejczyków. Nie twierdzę, że Europa się myli. Ma pełne prawo bronić wartości, zasad i norm, które uważa za istotne. Jednocześnie mam wrażenie, że Państwo Środka jest dziś coraz bardziej sfrustrowane relacjami ze Starym Kontynentem. Szczególnie widać to od 2019 r., kiedy Unia Europejska określiła Chiny mianem „systemowego rywala". Dopóki to określenie jest elementem polityki UE, byłabym bardzo zaskoczona, gdyby doszło do znaczącej poprawy w relacjach unijno-chińskich, zwłaszcza na poziomie instytucji UE. Zarówno w Brukseli, jak i w Pekinie istnieje świadomość, że nie należy całkowicie zamykać sobie drzwi, ale odnoszę wrażenie, że to Europejczycy są dziś bliżej takiego rozwiązania.

Unijny rynek jest jednak niezwykle istotny dla chińskich firm. Zwłaszcza że część eksportu przeznaczonego do USA jest teraz kierowana do UE ze względu na amerykańskie cła. Czy to nie skłoni Pekinu do ustępstw wobec handlowych żądań UE dotyczących chińskiej nadprodukcji?

Europa ma pewne możliwości nacisku, ale Chiny również mają swój atut w postaci surowców krytycznych, których już użyły jako ważnej karty przetargowej w negocjacjach handlowych z USA. Czy wykorzystają to przeciwko Europie, zależy w dużej mierze od tego, jak będą przebiegać negocjacje handlowe między Pekinem a Brukselą.

Na razie wydaje się, że obie strony szukają wspólnego rozwiązania. Jeśli ostatecznie je znajdą, Pekin będzie prawdopodobnie bardziej skłonny ułatwić europejskim firmom dostęp do surowców krytycznych. Jeśli jednak spór przerodziłby się w wojnę handlową, nie zdziwiłabym się, gdyby Chiny wykorzystały je jako kolejny element nacisku na Europejczyków. Powinniśmy więc być na to przygotowani w najbliższych miesiącach.

AI to nowy obszar sporny między Waszyngtonem a Pekinem. W USA rozwój sztucznej inteligencji zaczyna być postrzegany w kategoriach zagrożenia. Jak na to patrzą Chińczycy?

Chińska opinia publiczna postrzega sztuczną inteligencję zupełnie inaczej niż Zachód. W Chinach AI jest generalnie postrzegana pozytywnie – jako technologia, która może poprawić jakość życia. Na Zachodzie natomiast, gdy mowa o AI, w pierwszej kolejności pojawia się pytanie o to, w jakim stopniu może ona ingerować w prywatność, a coraz częściej także obawy dotyczące potencjalnych zagrożeń. Punkt wyjścia jest więc zupełnie inny. Ta różnica w podejściu przekłada się również na sposób, w jaki obie strony myślą o regulowaniu AI na szczeblu międzynarodowym.

W USA często używa się określenia „bezpieczniki", oznaczającego mechanizmy mające ograniczać ryzyko związane z rozwojem danej technologii. W języku chińskim określenie to ma jednak bardzo negatywne konotacje – przywodzi na myśl coś w rodzaju kaftana bezpieczeństwa, krępującego swobodę działania. Określenia „bezpieczniki" używali również Joe Biden i Jake Sullivan za rządów poprzedniej administracji. W tym ujęciu Pekin odbierał je jako sytuację, w której silniejsza strona, czyli USA, wyznacza reguły, których ma przestrzegać strona słabsza. Dlatego będzie rozwijał własne technologie AI niezależnie od Zachodu, a jednocześnie dążył do tego, by chińskie rozwiązania były wdrażane w jak największej liczbie państw niezachodnich. Widać to w ostatnim czasie w ponownym zaangażowaniu Pekinu we współpracę z krajami rozwijającymi się. Chińskie modele o otwartych wagach są stosunkowo tanie, co skłania wiele z tych państw do ich wdrażania. Korzyści dla Chin będą polegać na tym, że im więcej państw przyjmie chińskie technologie, tym silniej zostaną one włączone w tworzony przez Pekin ekosystem technologiczny i tym większy będzie popyt na chińskie technologie, produkty i usługi.

Czy technologia może się stać dla Chin nowym narzędziem budowania wpływów?

Chiny chcą nie tylko rozwijać własne technologie, lecz także wyznaczać kierunki ich rozwoju i współtworzyć globalne standardy w takich dziedzinach jak sztuczna inteligencja czy informatyka kwantowa. Czy to się uda, będzie zależeć nie tylko od ambicji Pekinu, lecz także od tego, na co inne państwa się zdecydują. Na razie Chinom nie chodzi o to, by to one ustanawiały wszystkie reguły, ale o to, by Stany nie były już jedynym mocarstwem zdolnym to robić. ©℗

Yu Jie była gościem tegorocznego CEO Circle organizowanego przez Boston Consulting Group pod hasłem „Prompting a New Order"

FOT. MAT. PRASOWE

Yu

Jie

Badaczka Chin w Chatham House specjalizująca się w chińskiej polityce wewnętrznej, gospodarce i ich wpływie na politykę zagraniczną Pekinu. Doradza rządom państw G20 i firmom w podejmowaniu decyzji dotyczących działalności i strategii związanych z Chinami. Wcześniej pracowała w LSE IDEAS, think tanku działającym przy London School of Economics, gdzie kierowała programem China Foresight, oraz w Roland Berger, międzynarodowej firmie doradczej, gdzie zajmowała się inwestycjami chińskich przedsiębiorstw państwowych w Europie i strategiami wejścia europejskich firm na rynek chiński

eprasa.pl 9067552c20

FOT. ABDULLAH DOMA/AFP/EAST NEWS

Bojownicy LAAF na ulicach Benghazi, w swoim mateczniku

Podbić Libię, szantażować Unię

Kontrolujący sporą połać kraju sędziwy mundurowy, szachujący UE groźbą tysięcy imigrantów z Afryki zalewających plaże, szykuje sukcesję dla swoich synów

Mariusz

Janik

Przed laty Libijczycy dostawali od siepaczy Mu'ammara al-Kaddafiego lakoniczne informacje o śmierci – czasem wprost: o egzekucji – ich bliskich, którzy trafili do kazamatów reżimu. Dziś podobne powiadomienia otrzymują ci, którzy żyją we wschodniej części kraju, Cyrenajce.

Jak szacuje organizacja Amnesty International, Libijskie Arabskie Siły Zbrojne (LAAF), podległe marszałkowi – z własnego awansu – Chalifie Haftarowi, w ostatnich dniach sierpnia pierwszy raz od burzliwych miesięcy arabskiej wiosny wznowiły egzekucje swoich przeciwników. Zabito co najmniej 30 osób, 50 oczekuje na wyroki. Libijska organizacja Crime Monitoring Organisation (CMO) doliczyła się z kolei 31 egzekucji w ciągu zaledwie dwóch tygodni (do 10 września) w dwóch największych więzieniach Cyrenajki: Gernada i al-Kuwajfijja.

– LAAF musi natychmiast wstrzymać zaplanowane egzekucje – apeluje Amnesty. Z informacji, jakie zebrała organizacja, wynika, że wyroki śmierci zapadają pod rządami Haftara w sposób arbitralny, po naprędce przeprowadzonych procesach, a formacje podległe LAAF torturami wymuszają zeznania.

Co charakterystyczne, krwawe rozliczenia Haftara z jego przeciwnikami przebiegają najwyraźniej w atmosferze przyzwolenia. Zaprotestowała dotychczas jedynie ONZ, której lokalna misja opublikowała własne dane – zbieżne z tym, co podają Amnesty i CMO. Milczenie zachowuje UE, choć zapewne doskonale zdaje sobie sprawę zarówno z losu libijskich adwersarzy Haftara, jak i powszechnego pod jego rządami prześladowania afrykańskich migrantów, którzy przybywają do Maghrebu w nadziei na przeprawę przez Morze Śródziemne do Europy.

„Urzędnicy warszawskiej centrali agencji służb granicznych UE, Frontexu, na swoich ekranach widzieli już niejedno. Drony i samoloty (patrolujące Morze Śródziemne – red.) nieustannie przysyłają zdjęcia – często tonących łodzi, śmiertelnych wypadków, czasem przemocy. Ale to, co zobaczyli 12 października 2025 r., było odległe od wszelkiej rutyny" – pisali niedawno reporterzy niemieckiego tygodnika „Der Spiegel". Chodziło o atak kutra jednej z libijskich milicji – kontrolują je synowie Chalify Haftara – na krypę ze 140 imigrantami na pokładzie; napastnicy ostrzelali łódkę, jakby chcieli nie tylko ją zatopić, ale wcześniej pozabijać wszystkich, którzy są na pokładzie.

„Der Spiegel" twierdzi, że atak nie tylko nie doczekał się zdecydowanej odpowiedzi ze strony Brukseli – a doszło do niego już na maltańskich wodach – ale wszystko wskazuje na to, że dokonali go bojownicy sfinansowani i wyszkoleni wcześniej przez Europę w ramach „współpracy" z Libią – więc właściwie z Haftarem. Według niemieckiego tygodnika owa współpraca ma charakter szantażu, dokładnie kopiującego schemat z czasów Al-Kaddafiego – Haftar grozi Europie, że otworzy na oścież drzwi dla napływających z Afryki i Maghrebu migrantów, a Europa ulegle spełnia jego żądania, obawiając się, że szturm migrantów na południowe rubieże kontynentu utoruje drogę skrajnej prawicy, która i tak rośnie dziś w siłę.

Ale żądania Haftara najwyraźniej eskalują. Nie sprowadzają się one wyłącznie do szkolenia i finansowania libijskiej „straży wybrzeża". Europa, która już przymyka oko na nadużycia, gwałty, przemoc i tortury w obozach, w których podwładni Haftara przetrzymują tych, którzy chcieli pokonać Morze Śródziemne, teraz musi tolerować egzekucje libijskich adwersarzy marszałka. Być może w niedalekiej przyszłości będzie musiała się też pogodzić z przejęciem przez Haftara – a może już jego synów – władzy w całej Libii. Bo o to przede wszystkim toczy się ta gra.

Z Libii do Langley

Byli z Al-Kaddafim rówieśnikami, obaj starsi niż libijska niepodległość, obaj urodzeni prawdopodobnie w 1942 r. (w obu przypadkach są rozbieżności). Ale Haftar w dużej mierze mógłby mówić o tym, że miał lepszy start. „Jego ojciec był prominentnym członkiem plemienia al-Fardżan, plemienia specjalnej natury, uznawanego za jedno Marabtin bil baraka, plemion błogosławionych" – pisze John Oakes, autor zwięzłej, ale jedynej jak dotąd, biografii Haftara „War Lord. Khalifa Haftar and the Future of Libya". Fardżani prawdopodobnie wywodzili się spośród pielgrzymów, którzy osiadali na terenach dzisiejszej Libii – ich osady rozciągały się w pasie od zatoki Wielkiej Syrty do Bengazi – w trakcie pielgrzymek do Mekki i spośród których wywodzili się uznani, wręcz czczeni w Maghrebie mędrcy.

Haftar pojawia się wśród spiskowców, którzy obalili króla Idrisa w 1969 r., ale nigdy nie należał do bliskich współpracowników Al-Kaddafiego. Prawdopodobnie, jak wielu niższych rangą żołnierzy, ubóstwiał egipskiego prezydenta Gamala Abdela Nasera, pomstował na skorumpowaną monarchię i syjonistów – nagrodą za lojalność był awans do rangi kapitana tuż po przewrocie oraz pobyt w egipskiej akademii wojskowej. W latach 70. mógł – choć nie jest to pewne – brać udział w wojnie Jom Kippur. Na pewno od połowy dekady pojawiał się w rolach dowódcy zgrupowania libijskiej armii w rejonie Tobruku czy dowódcy libijskich formacji przeciwlotniczych. Gdy w 1978 r. Al-Kaddafi urządził czystkę w wojsku, Haftar został wysłany na studia w Moskwie. Po powrocie ponownie wylądował w roli dowódcy sił w Tobruku, choć plotka głosi, że gdy w 1986 r. Amerykanie zbombardowali Trypolis, w tym koszary z willą Al-Kaddafiego, Haftar był na miejscu pierwszy.

Nagroda za tę wierną służbę była co najmniej dwuznaczna: na początku 1987 r. – już w randze pułkownika, najwyższej, jaką wówczas akceptował reżim Kadafiego – Haftar został dowódcą sił libijskich w sąsiednim Czadzie. Libijczycy próbowali interweniować w tym saharyjskim kraju już od 1973 r., chcąc wyszarpnąć dla siebie zasobny w ropę region na pograniczu obu państw, a przy okazji wynieść do władzy tę frakcję, która sympatyzowała z Al-Kaddafim. Ale kampania się ślimaczyła, co i raz inna milicja by- ▷

eprasa.pl 9067552c20

ła górą, a i libijski kontyngent nie rwał się do walki.

Haftar miał to zmienić, on sam zresztą utrzymywał po latach, że został do Czadu wysłany, bo stał się zbyt popularny w ojczyźnie. „W bazie Ouadi Doum ulokowano ok. 3 tys. żołnierzy w całkiem przyzwoitych, wyposażonych w klimatyzację, chatach. System irygacyjny pompował wodę do ogrodu warzywnego, w którym – można być pewnym – rosło wiele pikantnych przypraw, z miłości do których słyną Libijczycy. To był jedyny warzywniak w promieniu setek mil" – pisze Oakes. Pod bazą rozrzucone były podziemne magazyny, z których każdy mógł zmieścić po 12 czołgów T-62. Pod ręką były rakiety przeciwlotnicze SA-6 i opancerzone transportery sowieckiej produkcji. Wzdłuż bazy ciągnął się przez 3 km pas dla samolotów, było lądowisko dla helikopterów.

A jednak czegoś brakowało. „Tak Al-Kaddafi, jak i Haftar – a pewnie i większość libijskich oficerów – wierzyli, że wystarczy po prostu użyć sowieckiej technologii i taktyki, żeby osiągnąć militarny sukces" – kwituje Oakes. Czadyjczycy zapewne nie zdawali sobie sprawy, jak groźnych mają przeciwników – i bezlitośnie ich nękali: to była jedna z pierwszych „wojen Toyoty", w których pojawiły się terenówki tej marki z zamontowanymi na pace ciężkimi karabinami. Gdy karawana aut pojawiała się z lewej, przyciągając uwagę Libijczyków, główne siły miejscowych uderzały z prawej na odsłoniętą flankę. Haftar nie brał długo udziału w tej zabawie w kotka i myszkę: już w marcu 1987 r. rebelianci sforsowali zabezpieczenia bazy i zdobyli Ouadi Doum. Część Libijczyków zginęła, większość salwowała się ucieczką, ok. 600 – z samym Haftarem – wylądowało w niewoli (w sumie ich liczba miała z czasem sięgnąć ponad 2 tys.). A właściwie w militarno-dyplomatycznym limbie: reżim w Trypolisie zaprzeczył, by na terenie Czadu przebywali libijscy żołnierze. W zasadzie nic nie stało na przeszkodzie, żeby czadyjscy bojownicy postawili wszystkich pod ścianą.

Wtedy pojawili się w jenieckich obozach goście: Amerykanie, Izraelczycy i wysłannicy formowanego właśnie na Zachodzie Narodowego Frontu Ocalenia Libii – opozycyjnej wobec reżimu organizacji, w której spotkali się dawni monarchiści, republikanie, odtrąceni niegdysiejsi współpracownicy Al-Kaddafiego. W kwietniu 1988 r. Haftar podpisywał już komunikaty wzywające rodaków do obalenia Braterskiego Przywódcy. W Waszyngtonie formowane przez niego z jeńców oddziały nazywano „libijskimi contras". „Więźniowie, którzy odmawiali przyłączenia się, byli bici, a sam Haftar zmuszał żołnierzy do zabijania dezerterów i czadyjskich jeńców na oczach innych swoich żołnierzy" – donosił w swoich korespondencjach Francois Soudan, wieloletni korespondent francuskich mediów z Afryki. Tyle że w ciągu kolejnych kilkunastu miesięcy miało się okazać, że żadnego uderzenia na Libię nie będzie – nowe władze Czadu dogadały się z Al-Kaddafim i zaczęły odsyłać Libijczyków do domu. Amerykanie z ociąganiem podstawili samoloty dla tych, którzy wracać nie chcieli. Haftar wsiadł do jednego z nich.

Unia Europejska musi przygotować na kolejne pół wieku z szantażystą u jej południowych rubieży

Marszałek, który układa puzzle

„Żył w Georgii, nieopodal centrali CIA w Langley, zapewne dla protekcji, a możliwe, że był też użytecznym źródłem informacji" – kwituje Oakes ten etap życia Haftara (choć pomylił Georgię z Wirginią). Skądinąd wiadomo, że kilkakrotnie w latach 90. i kolejnej dekadzie spotykał się w różnych miejscach z Ahmedem Kadafem ad-Damem, uchodzącym za prawą rękę Al-Kaddafiego (ten w swoich wspomnieniach, spisanych już po upadku reżimu, ani słowem nie wspomina o tych spotkaniach). Odciął się od opozycji, gdy ta w latach 90. zorganizowała nieudany zamach na pułkownika. Można zakładać, że stopniowo sondował możliwości powrotu do kraju, choć z drugiej strony – otrzymał amerykańskie obywatelstwo, co zapewne traktował jako rodzaj polisy. Ale też reżim nie palił się, żeby go wpuszczać: Kaddafi zapewne pamiętał zdradę w Czadzie.

W rezultacie Haftar musiał czekać aż do arabskiej wiosny. Nie zwlekał, pojawił się w Libii, gdy jeszcze trwały walki i nie było jasne, która ze stron zatriumfuje. Wybrał Bengazi – miejscowi znali jego, znali jego krewniaków, którzy od dekad mieli w mieście wiele do powiedzenia, szanowali plemię al-Fardżan, zaoferowali mu promocję do rangi generała-porucznika. W hierarchii dowodzenia obroną miasta zajął trzecie miejsce, ale z każdym miesiącem poprawiał pozycję: procentowało wojskowe przygotowanie, znajomość realiów reżimowej armii (które niewiele się zmieniły od lat 70. i 80.), a wreszcie bezwzględność i umiejscowienie w lokalnych układach.

Ale prawdziwe puzzle trzeba było układać dopiero po upadku reżimu. Libia od chwili powstania była zlepkiem trzech niezbyt ze sobą zintegrowanych regionów – Trypolitanii na zachodzie, Cyrenajki na wschodzie i Fezzanu na saharyjskim południu. W powszechnej opinii ten pierwszy region wykorzystywał drugi; w uproszczeniu – pieniądze z ropy wydobywanej w Cyrenajce wydawano w Trypolitanii, władza też przeniosła się ze wschodu na zachód, zaś Fezzan żył własnym życiem. Przez kilka dekad wspólnego funkcjonowania podziałów nie udało się zasypać. Na dodatek z Al-Kaddafim walczył osobliwy konglomerat jego zbuntowanych podwładnych, oddolnie powstających plemiennych milicji, dżihadystów, sympatyków dawnej opozycji, wizjonerów, którym marzyła się demokracja, i innych, którym marzyły się drugie emiraty. Po upadku reżimu niemal każdym miastem, a w dużych ośrodkach – każdą dzielnicą, władał inny watażka, o innych umocowaniach plemiennych i sile militarnej. To właściwie nie była wojna domowa, jak przyjmuje się w nomenklaturze kronikarzy sytuacji w Libii, lecz pełna anarchia.

Haftar wytrzymał w tych realiach niespełna trzy lata. Miał pod komendą ok. 6 tys. ludzi, miał bastion w Bengazi, ale miał też aspiracje do przejęcia władzy w Trypolisie – a w 2014 r. Generalny Kongres Narodowy, tymczasowy parlament kraju w dużej mierze obsadzony islamistami, odmówił zaplanowanego wcześniej rozwiązania się. I to był zapalnik. – Narodowe dowództwo armii libijskiej deklaruje ruch na rzecz uratowania Libii – ogłosił z Bengazi generał-porucznik, rozpoczynając nową fazę konfliktu, Drugą Wojnę Domową.

Bengazi, Derna, tereny zajęte przez dżihadystów Państwa Islamskiego, cała Cyrenajka – kampania LAAF, jak nazywała się teraz formacja Haftara, już marszałka polowego, była brutalna i powolna, ale konsekwentna. Z końcem 2017 r. Haftar był już uznawany za najsilniejszego pod względem militarnym gracza w kraju, co umożliwiło mu ogłoszenie sformowania własnego rządu libijskiego w Bengazi i delegalizację władz w Trypolisie. – Terytorium Libii wynosi 1,76mln km kw., a my kontrolujemy 1,73 mln km kw. – rzucił dowódcom podczas odprawy w październiku owego roku. Była to mocno naciągnięta deklaracja – na zajętych przez niego obszarach kraju wciąż są wyspy rządzące się niezależnie od niego, z Trypolisem (który odparł szturm LAAF w 2019 r.) na czele. Ale jest też jasne, że nie ma dziś w Libii nikogo bardziej wpływowego od Haftara i jakiekolwiek finalne status quo zapanuje w kraju, będzie ono musiało mieć przyzwolenie Haftara.

Zabiegając o łaskawe oko Trumpa

A właściwie Haftarów. – Chalifa ma co najmniej sześciu synów i córkę – ujmuje to w specyficzny sposób notka w Wikipedii. Liczą się jednak ci najstarsi, którzy w czasach, gdy ojciec żył w USA, pomieszkiwali z rodziną w Bengazi. Szczególnie dotyczy to najmłodszego z rodzeństwa, urodzonego w 1991 r. Saddama Haftara (a i owszem, imię po pamiętnym irackim prezydencie, nadane chyba na przekór amerykańskim gospodarzom).

Saddam jest dziś generałem i szefem sztabu LAAF, a jego prawą ręką jest kolejny z braci – Chalid, w otoczeniu ojca można też znaleźć Belkasima Haftara w roli politycznego doradcy. Liczy się jednak przede wszystkim ten pierwszy. Saddam zasłynął z tego, że już jako 25-latek przywdział mundur z oficerskimi epoletami i od 2016 r. dowodził Brygadą im. Tarika ibn Zijada (słynny wódz berberyjski z czasów średniowiecza), cieszącą się renomą brutalnej pięści Haftarów, od pozasądowych egzekucji i wysiedleń po przemoc seksualną. Jego bojowe curriculum vitae obejmuje więcej przechwyconych banków niż zwycięstw na polu bitwy, ale to już przeszłość: dziś Saddam jest mniej lub bardziej radośnie witanym gościem na salonach.

Rządy Haftara nie zaistniały bowiem w próżni. Marszałek mógł w ostatnich latach liczyć w dużej mierze na sentyment dawnych gospodarzy z Langley, a przede wszystkim – przyjaźń i relacje z dawnymi kolegami z moskiewskich uczelni wojskowych. Te kontakty pozwalały mu cieszyć się pewną swobodą, jeśli chodzi o rekonkwistę Libii, choć pod międzynarodową presją musiał porzucić plan siłowego zajęcia Trypolisu. Być może jednak liczne eskapady Saddama w ostatnich miesiącach zapowiadają nową ofensywę, dla której poparcie żmudnie zdobywa szef sztabu, a być może mają służyć wprowadzeniu go do wielkiej gry.

Według Middle East Eye Saddam Haftar pojawił się pod koniec września w Abu Zabi, akurat w czasie, gdy niespodziewaną wizytę złożył tam Binjamin Netanjahu – bliskowschodnie media spekulują, że doszło do tajnego spotkania (być może z udziałem gospodarzy, a także Marokańczyków) obu wymienionych. Nie byłoby ono pierwsze, w 2021 r. Haftar junior odwiedził Izrael, podobno zabiegając o izraelskie technologie militarne. Innym powodem może być próba nawiązania przez Haftarów kontaktu z Waszyngtonem, a wręcz zaproszenie do Bengazi wiceprezydenta J.D. Vance'a – cóż, błogosławieństwo Donalda Trumpa mogłoby otworzyć drogę do ostatecznego rozprawienia się z rządem w Trypolisie.

Na taki scenariusz może też wskazywać inny mało dostrzegany fakt: w sierpniu Bengazi odwiedził szef tureckiej dyplomacji (a wcześniej wywiadu) Hakan Fidan. Kilka lat temu to rząd w Ankarze był najważniejszym oparciem władz w Trypolisie, dziś Turcy mogą powoli zmieniać strony w libijskim wewnętrznym konflikcie. Biorąc pod uwagę wspomniany „szantaż" Unii Europejskiej, można zakładać, że UE również nie stanęłaby zdecydowanie w obronie trypoliskiego rządu.

Oczywiście 83-letni marszałek zapewne chciałby doczekać skonsolidowania swojej władzy na owych 1,76 mln km kw. libijskiego terytorium. Ale scenariusz minimum zakłada zapewnienie spokojnego transferu władzy i mocnej pozycji potomkom. Wtedy jednak Unia Europejska będzie musiała się przygotować na kolejne pół wieku z szantażystą u jej południowych rubieży. ©℗

Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl

eprasa.pl 9067552c20

Winny niewinny

Dziewięć lat po jednej z najgłośniejszych zbrodni w historii europejskich mediów główny podejrzany został uniewinniony w kontrowersyjnych okolicznościach

Michał
Potocki
korespondencja z Malty

Yorgen Fenech, właściciel kasyn oraz hoteli, a co ważniejsze – wspólnik i przyjaciel wpływowych polityków rządzącej na Malcie od 2013 r. Partii Pracy, wyszedł z sądu jako wolny człowiek. I zaczęła się burza – bo oskarżony o zlecenie zabójstwa Daphne Caruany Galizii oligarcha w trakcie procesu zdążył się przyznać do rzeczy, za które w większości innych państw dostałby wieloletni wyrok. Ze względu na specyficzny ustrój sądowy na Malcie apelacja stoi pod znakiem zapytania. Tymczasem policja zatrzymała i przesłuchała trzech z dziewięciu przysięgłych (i czwartego rezerwowego), którzy go uniewinnili.

„Oszuści są wszędzie"

Caruana Galizia, publicystka kojarzona z opozycyjną Partią Nacjonalistyczną, zginęła 16 października 2017 r. w wyniku wybuchu bomby podłożonej pod jej samochodem. Za życia była znana z bezkompromisowych artykułów ujawniających afery z kręgów władzy i – co oczywiste, rzadziej – opozycji. Pisała ostro, niejednokrotnie na granicy hejtu, ale o większości skandali korupcyjnych Maltańczycy dowiadywali się z jej bloga „Running Commentary". Mogli ją kochać albo nienawidzić, ale czytali jej wpisy. Wiele z nich notowa- ▷

Protest Maltańczyków po uniewinnieniu Yorgena Fenecha. Valetta, 16 września 2026 r.

FOT. DARRIN ZAMMIT LUPI/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 9067552c20

ło liczbę wejść porównywalną do liczby ludności tego kraju (niemal 600 tys. osób). „Oszuści są wszędzie" – napisała w ostatnim komentarzu. Gdy ją zabito, miała 47 spraw w sądzie, w tym 42 pozwy cywilne. Jej śmierć skłoniła Komisję Europejską do napisania dyrektywy antyslappowej, która ma ograniczyć praktykę zamykania dziennikarzom ust masowo składanymi pozwami.

Bezpośrednich sprawców szybko schwytano i osądzono. Prawdziwa bomba wybuchła dwa lata później. Policja aresztowała podczas próby ucieczki z wyspy domniemanego zleceniodawcę. Powiązania 28-letniego wtedy Fenecha z rządem były jasne dla wszystkich. Ludzie wyszli na ulice i zmusili do dymisji m.in. premiera Josepha Muscata i szefa jego kancelarii Keitha Schembriego. Wydawało się, że sprawa jest prosta: Caruana Galizia wpadła na trop zarejestrowanej w Zjednoczonych Emiratach Arabskich firmy 17 Black, przez którą miano wyprowadzić pieniądze z kontraktu gazowego z Azerbejdżanem, z którym rodzinę Muscatów łączyły bliskie związki towarzysko-biznesowe. Dziennikarka nie odkryła tylko, do kogo należy 17 Black. Po jej śmierci dziennikarze z całego świata znaleźli odpowiedź na to pytanie: była to spółka Fenecha.

Skruszony pośrednik

Akt oskarżenia opierał się na zeznaniach skruszonego pośrednika Melvina Theumy. Taksówkarz zeznał, że Fenech zlecił mu znalezienie zabójców i za jego pośrednictwem przekazał im 150 tys. euro (wykonawca powiedział Reutersowi, że gdyby wiedział, o kogo chodzi, zażądałby miliona). Miał też wstrzymać egzekucję na okres po wyborach (3 czerwca 2017 r.), obawiając się, że zbrodnia odbije się na wynikach Partii Pracy. Theuma nagrywał rozmowy z oligarchą i po zatrzymaniu przekazał taśmy policji. Fenech przekonywał, że to Schembri stał za zleceniem; Daphne miała mu podpaść kilka lat wcześniej, gdy ujawniła, że zachorował na raka, zanim powiadomił o tym rodzinę. Fenech przyznał jednak, że wiedział o spisku, że przekazywał Theumie pieniądze przed i po śmierci Daphne oraz że dzielił się informacjami ze śledztwa. Twierdził jednak, że to nie on zlecił zabójstwo, a gotówkę miał dawać ze strachu przed Theumą o siebie i Schembriego.

Proces ruszył dopiero w lipcu tego roku – takie odwlekanie procedur to na Malcie smutna norma – i zakończył się sensacyjnym werdyktem. Ośmiu z dziewięciu przysięgłych uznało 2 września, że Fenech jest niewinny obu zarzucanych mu czynów: udziału w zabójstwie i w jego planowaniu (to dwa różne paragrafy). Werdykt wywołał szok, choć wielu Maltańczyków, zwłaszcza głosujących na opozycję, nie wierzyło, by tak dobrze ustosunkowany człowiek mógł trafić na dłużej za kratki. Ale dominowało przeświadczenie, że przysięgli uznają jego winę związaną z drugim, słabszym, zarzutem, dzięki czemu opuści zakład karny pod koniec tej dekady. Żeby wydać werdykt, potrzebna jest większość sześć do trzech. A skoro ośmiu przysięgłych uznało Fenecha za niewinnego, zastanawiali się Maltańczycy, to odpowiednią liczbę głosów zapewne udało się szybko zebrać. O czym więc przysięgli debatowali przez osiem godzin?

> „Gdy moja matka była mordowana, Malta była państwem mafijnym. Dekadę później takim pozostaje, choć były okazje, by to zmienić" – pisał Michael Caruana Galizia

Szok ponownie wypchnął Maltańczyków na ulice. 16 września, w kolejną miesięcznicę zbrodni, tysiące ludzi rozlały się po Triq ir-Repubblika, głównej arterii Valletty, spychając zdezorientowanych turystów w boczne uliczki barokowej stolicy. Scenę ustawiono przy pomniku Wielkiego Oblężenia, upamiętniającego zwycięską obronę przed turecką inwazją w 1565 r. Po jednej stronie placyku stoi tam Konkatedra św. Jana. Po drugiej – sąd, w którym przeprowadzono proces. Na samym obelisku jeszcze w 2016 r. powstał drugi, spontaniczny pomnik Daphne. Jej rodzina i zwolennicy umieszczali tam plakaty upamiętniające dziennikarkę i żądania ukarania winnych. Jej przeciwnicy, wśród których prym wiódł Neville Gafà, szara eminencja Partii Pracy, zrywali je i umieszczali własne, oskarżające zabitą o bycie cynglem nacjonalistów, przemoc domową i nieprawidłowości podatkowe.

Organizatorzy protestu wyposażyli uczestników w plakaty, które po angielsku i maltańsku żądały ukarania winnych i ukrócenia „kultury bezkarności". Deklarowały, że starania o sprawiedliwość nie zostaną porzucone. „Ipproteġu lill-ġurnalisti! Iddefendu d-demokrazija!" (Chroń dziennikarzy, broń demokracji!).

Poruszające przemówienia wygłosili bliscy Caruany Galizii, odczytano przejmujący list jej 87-letniego ojca. „Dziewięć lat po brutalnym zamordowaniu Daphne instytucjonalne braki, które umożliwiły jej zabicie, nie zostały naprawione. Sprawiedliwość wymaga, by nikt nigdy nie zetknął się z podobnym ryzykiem. Nasz kraj nie ochronił Daphne. Jest jej winny ochronę życia innych" – oświadczyła fundacja jej imienia w dniu werdyktu.

– Nie wiem, co zaszło podczas obrad ławy przysięgłych, bo nikt poza nimi tego nie wie. Ale opowiem ci taką historię – mówił mi kilka dni wcześniej jeden z rozmówców, uznany naukowiec, pisarz i publicysta. – Kilka lat temu byłem świadkiem w grubej sprawie dotyczącej przemytu narkotyków. Dowody przeciwko oskarżonym wydawały się równie ewidentne. A jednak wszystko zakończyło się uniewinnieniem identyczną większością osiem do jednego. Przez przypadek dowiedziałem się, że jednym z przysięgłych był mój kolega ze szkoły. Spotkałem go dwa tygodnie później i zapytałem go wprost o tę sprawę. „Gdyby przez cały czas procesu pod twoim domem po nocach stał samochód z dwoma podejrzanymi typami, to byś mnie nie pytał" – oświadczył. Nazwiska przysięgłych w konkretnej sprawie nie są publicznie znane, ale jak ktoś ma wejścia w sądach, to je pozna – tłumaczył.

Większy szok niż sama zbrodnia

Dla Raniera Fsadniego, publicysty bliższego nacjonalistom niż laburzystom, werdykt był „większym szokiem niż sama zbrodnia". – Jestem antropologiem. Potrafię wyjaśnić kanibalizm, praktyki magiczne, ale to... Żeby znaleźć racjonalne wyjaśnienie, należy sięgnąć po argument korupcji. Innego uzasadnienia nie widzę. Nie byłbym zaskoczony, gdyby uniewinnili Fenecha od zarzutu współudziału w zabójstwie. Ale aby uznać drugi zarzut za słuszny, wystarczyły nagrania Theumy. Zresztą obronę ten werdykt chyba też zaskoczył. Bywałem na posiedzeniach sądu; jeden z obrońców pewnego razu apelował, by Fenech dostał „tylko to, na co zasłużył" – rozważał Fsadni przy filiżance kawy w sieciówce w Msidzie. – Znam osobiście jedną z obrończyń. Nie będę miał już z nią takich samych relacji. Byłoby to dla mnie trudne – deklarował.

– Jestem tu, bo nie mogę zrozumieć, dlaczego ośmiu z dziewięciu przysięgłych zagłosowało za wypuszczeniem Fenecha. I nie akceptuję tego wszechobecnego poczucia bezkarności – mówiła mi jedna z uczestniczek protestu w Valletcie, czterdziestokilkulatka z Msidy. – Oczekujemy powtórnego procesu i pociągnięcia do odpowiedzialności także tych ludzi, których nazwiska wyszły na jaw podczas procesu – przekonywała, ale nie chciała podać imienia. – Proszę po prostu napisać, że jestem Maltanką – dodawała.

Doprowadzenie do powtórki procesu nie będzie jednak proste. Fsadni nie był nawet pewien, czy kiedykolwiek udało się tą drogą doprowadzić do podważenia wyroku. Archaiczne, wiktoriańskie prawo pozwala na to tylko wtedy, gdy wykaże się poważne uchybienia w pracy sądu bądź przysięgłych. Nie wystarczy po prostu nie zgadzać się z merytoryczną stroną werdyktu.

Pewnej szansy upatruje się w działaniach policji. Kilka dni po werdykcie zatrzymała ona troje przysięgłych, męża jednej z nich i czwartego rezerwowego jurora. Jak usłyszałem od ludzi znających szczegóły sprawy, przynajmniej niektórzy przed śmiercią Daphne ostro krytykowali ją w serwisach społecznościowych. Tymczasem prawo wymaga, by byli bezstronni – i by oświadczyli to pod przysięgą. Ponadto jeden z przysięgłych miał wbrew przepisom korzystać z telefonu podczas procesu, a inna miała zawczasu zdradzić mężowi, jak się skończy głosowanie. Wszyscy zostali uwolnieni bez postawienia zarzutów.

Zatarte granice

22 września, na dzień przed upływem terminu, prokuratura wniosła w końcu odwołanie. – Pytanie, czy w ogóle da się znaleźć kogoś całkowicie bezstronnego. Przecież każdy Maltańczyk ma na ten temat jakąś opinię – mówi Fsadni. Wciąż toczą się tymczasem cztery sprawy karne, w których Fenech jest oskarżony, dotyczące także kwestii, które opisywała na blogu dziennikarka, w tym prania pieniędzy i korupcji. Miejscowi obawiają się, że oligarcha znów spróbuje uciec z kraju. Tymczasem niektórzy przedstawiciele władz poczuli krew, choć aparat partyjny wyraźnie starał się ich powstrzymać przed zbyt ewidentnym triumfalizmem. Minister kultury Paul Agius Galea wyraził wątpliwość, czy w ogóle można uznać, że Daphne zginęła ze względu na wykonywany zawód (potem wycofał się z tych słów). W parlamencie pojawiły się oczekiwania, by w kontrze do dyrektywy antyslappowej zaostrzyć odpowiedzialność mediów za pomówienia.

– Już 200 lat temu, gdy Brytyjczycy wprowadzili ławę przysięgłych, dyskutowano, czy w tak małym kraju ma to sens. Teraz ta debata wróci – powiedział mi wieloletni polityk Partii Pracy, były szef MSZ Evarist Bartolo, dziś już na politycznej emeryturze, goszcząc mnie w swoim domu w Swieqi. – Zapomnij o teoriach spiskowych. W małym społeczeństwie trudno się przebić przez uprzedzenia, rozbudowane sieci kontaktów polityków i wielkiego biznesu, układy i klientelizm – dodawał. Do podobnych wniosków doszedł w 2019 r. holenderski politolog Wouter Veenendaal, który badał maltańską politykę. Jak dowodził, w kraju, gdzie wszyscy wszystkich znają, korupcja pleni się sama. Veenendaal opisał Maltę jako „małe, silnie osieciowane społeczeństwo, w którym obywatele i politycy pozostają w stałym kontakcie". „W efekcie zaciera się granica między relacjami zawodowymi a prywatnymi" – czytam.

„Nie zostawiaj mnie samego, daj mi wsparcie" – napisał do Keitha Schembriego Yorgen Fenech tuż przed zatrzymaniem. „Morderstwo uszło Fenechowi na sucho" – komentował na Facebooku Michael Caruana Galizia, syn Daphne. „Gdy moja matka była mordowana, Malta była państwem mafijnym. Dekadę później takim pozostaje, choć były okazje, by to zmienić" – dodał.

Obrońcy Fenecha grożą pozwami tym, którzy będą nadal kolportować oskarżenia pod adresem ich klienta. Schembriemu nie postawiono zarzutów związanych z zabójstwem, ale ma odpowiadać za korupcję i zdradę tajemnicy śledztwa. Będzie odpowiadał z wolnej stopy. Policja nigdy nie odnalazła telefonu i laptopa, z których korzystał w tamtym czasie. ©℗

Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl

eprasa.pl 9067552c20

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Agresja z ludzką twarzą

Witold Sokała

Na początku września na murach niektórych miast europejskich pojawiły się plakaty z hasłem „Rosja nie jest naszym wrogiem". Zdobiły je gołąbki pokoju i uściśnięte dłonie w barwach narodowych. Akcję starano się ucharakteryzować na oddolne inicjatywy lokalne. Korzystano z podmiotów, które z Kremlem mogły się kojarzyć co najwyżej pośrednio – grup propalestyńskich, antykapitalistycznych lub skrajnie ksenofobicznych, a w Rzymie bezpośrednim wykonaniem zajęła się jedna z organizacji wcześniej sprzeciwiających się pandemicznym obostrzeniom. Zbieżność w czasie oraz podobieństwo treści i środków wyrazu kampanii były jednak na tyle uderzające, by domyślić się, gdzie znajdowali się jej zleceniodawcy i beneficjenci.

Najwyraźniej potem nastąpiły ocena efektywności testowej akcji oraz szybkie korekty założeń – już po paru tygodniach ruszyła operacja pełnoskalowa.

Jak odwrócić kota ogonem

Tym razem główną sceną nie są ściany, przystanki i płoty. Skupiono się na mediach społecznościowych. Nawet się też nie ukrywa, że palce w akcji macza Moskwa. To potencjalnie dobra wiadomość, gdyż jednym z powodów może być uznanie, że zamaskowani przyjaciele Kremla mają niewystarczającą siłę przebicia. Wyznaczono im oczywiście zadania multiplikowania i wzmacniania przekazu, ale postanowiono też wykorzystać kanały bardziej oficjalne.

Niestety, jest też inne możliwe wytłumaczenie, bardziej pesymistyczne. Niewykluczone, że Rosjanie po prostu nie chcą na tym etapie ujawniać wszystkich posiadanych aktywów agentury wpływu. Jest bowiem oczywiste, że każdy, kto będzie powielał ich przekaz, automatycznie ryzykuje znalezienie się na celowniku zachodnich kontrwywiadów. Dlatego spece od informacyjnej dywersji „palą" tylko stosunkowo niewielką część swoich cichych sojuszników, zapewne tych mniej istotnych lub z góry skazanych na dekonspirację. Ważniejsi przydadzą się w innych rozgrywkach.

Tak czy inaczej mamy w zachodniej przestrzeni informacyjnej wysyp komunikatów operujących tym samym hasłem („Russland ist nicht mein Feind", „Russia is not my enemy", „La Russie n'est pas mon ennemi" itd.), adekwatnymi hasztagami, a także z grubsza podobnym zestawem grafik. Do gołąbków pokoju i uściśniętych dłoni dołączyły wspólnie powiewające flagi Rosji i danego państwa, a także budzące pozytywne skojarzenia obrazki: ładnej dziewczyny w rosyjskim stroju ludowym, rozśpiewanych dzieci, popularnych postaci z rosyjskich kreskówek. Jest miło, radośnie i pluszowo.

Zaczęło się na portalu X, potem przyszła kolej na następne social media. Przyklasnęły i podały dalej rosyjskie ambasady, media tradycyjne, cała rzesza kolaborantów i sympatyków. Algorytmy nie kasują i nie blokują automatycznie, bo przecież nie ma żadnych treści uznawanych przez nie za trefne.

Ten zmasowany przekaz ma jasny cel: Rosja ma się odbiorcom kojarzyć wyłącznie dobrze, na pewno nie z agresją, nie z masakrowanymi ukraińskimi cywilami, nawet nie z energetycznym szantażem. Odpowiedzialni za wszelkie zło „wojenni podżegacze" to: ukraińscy przywódcy, „jastrzębie" z kilku stolic plus międzynarodowy kapitał zarabiający na wojnie. Nic nowego – analogiczne wątki były w czasach zimnej wojny eksploatowane przez propagandę radziecką, a wykorzystanie rosyjskiej soft power (balet, literatura...) zdarzało się i później. Sformułowań o „Rosji, która nie jest naszym wrogiem" swego czasu używali nawet politycy dalecy od złudzeń w kwestiach polityki wschodniej, gdy panowała taka moda – choćby Radosław Sikorski czy Andrzej Duda. Tyle że powszechny szok związany z wydarzeniami 2022 r. w dużym stopniu skompromitował tamten przekaz i uczynił go nieskutecznym. Po prostu mało kto na Zachodzie jeszcze wierzył, że z państwem tak ostentacyjnie i systemowo mordującym niewinnych ludzi w ościennych krajach, tak brutalnie gwałcącym wszelkie cywilizowane normy da się jeszcze pokojowo koegzystować.

Przy pokerowym stoliku

Teraz stajemy w obliczu kolejnej zmiany, nad którą Rosjanie długo pracowali po cichu. Oto bowiem wielu (większości?) zwykłym ludziom na szeroko pojętym Zachodzie makabra dziejąca się w Ukrainie już spowszedniała, za to pojawiły się nowe strachy. Migranci szturmujący hiszpańską Ceutę i nie tylko. Muzułmańscy terroryści jakoś przypadkiem przypominający o swoim istnieniu po latach względnej pauzy. Izraelscy żołdacy obracający w gruzy Gazę i radykalni politycy z Jerozolimy odmawiający słusznych praw Palestyńczykom. Klęski żywiołowe, ofensywa LGBT, upadek autorytetów, emancypacja kobiet i zachwianie tradycyjnych ról społecznych, a nawet brukselska biurokracja ingerująca w kwestie zakrętek w plastikowych butelkach. Do tego jeszcze pomiatający starą Europą, nieprzewidywalny Donald Trump. Dla każdego coś niemiłego, niemal każdy może znaleźć w tej palecie coś, co postrzega jako znacznie groźniejsze i bardziej dotkliwe niż odległy (mniej czy bardziej) Władimir Putin i jego zbójcy. Do układanki dochodzą drogie paliwa, prąd i żywność oraz coraz powszechniejszy lęk o jutro. W Polsce jeszcze erupcja resentymentów antyukraińskich, też przecież sprytnie podsycana przez Rosję, a ponadto wyniszczająca wojna partyjnych plemion, dzięki wysokiemu poziomowi emocji wyłączająca nawet skądinąd inteligentnym ludziom zdolność krytycznego myślenia.

Na takim tle rosyjska próba ostatecznego odwrócenia nastrojów i przedstawienia siebie jako ofiary, całkiem sympatycznej, lecz niewinnie sekowanej przez złe jednostki i środowiska, ma niestety rosnące szanse powodzenia. Ludzie wiedzą i pamiętają głównie to, co jest dla nich psychologicznie wygodne – i niekoniecznie jest to racjonalny i cyniczny wybór, częściej działa nasza podświadomość. Odpowiednie bombardowanie informacyjne jest zaś skuteczniejsze niż rakiety. Dlatego trudno się dziwić, że dosyć toporna operacja rosyjska skutkuje zakładanym przez kremlowskich speców odzewem wielu „normalsów" z państw Zachodu: wyparciem zagrożenia rosyjskiego, skupieniem się na innych wyzwaniach, a także na wyobrażonych szansach związanych z „nieprowokowaniem Rosji", które miałoby polegać na daniu Moskwie wolnej ręki na obszarze postradzieckim, zniesieniu sankcji oraz zapraszaniu rosyjskich polityków, biznesmenów (i szpiegów) do dobrego towarzystwa jak gdyby nigdy nic.

Część ekspertów uważa, że to głównie przygotowanie psychologicznego gruntu pod wizytę Putina (lub przynajmniej jego wysokiego rangą zastępcy) na grudniowym szczycie G20. Inni idą dalej, wiążąc operację odbudowy rosyjskiej marki państwowej z planami zawarcia pod patronatem Donalda Trumpa pokoju uwzględniającego interesy stojących za nim grup biznesowych. Obie te spekulacje bynajmniej nie muszą się wykluczać, ale warto pamiętać, że i tak na stoliku do globalnego pokera – w charakterze puli do wzięcia przez tego, kto okaże się mistrzem blefu i licytacji – leżą długofalowe interesy bezpieczeństwa i rozwoju kilku państw. Naszego również.

Nie dajmy się wkręcać

Tymczasem w Polsce w sukurs stanowisku ugodowemu wobec rosyjskiego imperializmu idą emocje nie tylko antyukraińskie, lecz także antyniemieckie, antyunijne, a często – alternatywnie i nieco paradoksalnie – także antyamerykańskie. Dalej na zachód lub na południe działa brak własnych złych doświadczeń z Rosją, bo przecież pokolenia pamiętające realne zagrożenie ze strony Związku Radzieckiego z wolna schodzą ze sceny. O tym, że Władimir Putin właśnie rozpad ZSRR i związaną z nim utratę szans dalszej ekspansji uznał publicznie za „największą katastrofę geopolityczną XX wieku", też mało kto dzisiaj wspomina. I niewielu jest ludzi rozumiejących, że Ukraina to tylko przystanek na rosyjskiej drodze do znacznie ambitniejszych celów, w tym do strategicznego sparaliżowania całej Europy po to, by następnie dowolnie eksploatować jej zasoby lub nawet zaprowadzić na jej terytoriach swoje własne porządki. W Polsce to całkiem wyobrażalne, we Włoszech czy Francji pewnie mniej, ale to nie znaczy, że pozostaje poza sferą rosyjskich planów.

Niestety, realizacja takiego scenariusza nie jest niemożliwa. Oczywiście, nie poprzez użycie siły militarnej. Moskwa dzisiaj nie ma jej na tyle dużo i pewnie nieprędko będzie miała. Ale dzięki kombinacji walki informacyjnej i operacji kinetycznych (ograniczonych, więc niegrożących ponowną zmianą nastrojów opinii publicznej) – jak najbardziej. Dlatego Rosja, proponując nam dzisiaj „politykę miłości", nie zrezygnuje całkowicie z okresowych gróźb i pomruków (jednym z niedawnych przykładów jest szef kremlowskiej dyplomacji Siergiej Ławrow bezczelnie radzący nam „studiować uważnie rosyjską doktrynę wojenną" w odpowiedzi na polskie plany uruchomienia u siebie produkcji rakiet do systemu Patriot, notabene broni typowo defensywnej). Nie zrezygnuje też z zamachów i podpaleń, z naruszania naszej przestrzeni powietrznej ani tym bardziej ze wspierania różnego typu organizacji destabilizujących. Wbrew pozorom te instrumenty nie są sprzeczne i wcale się nie znoszą – przeciwnie, w ostatecznym rachunku wzajemnie wzmacniają swoje działanie, bo są adresowane do różnych typów odbiorców. To skądinąd elementarz wojny kognitywnej.

Dlatego tak ważne jest, abyśmy nie dawali się wkręcać. Żebyśmy, widząc znajomych powielających rosyjskie treści, zastanowili się, czy czynią to ze zwykłej głupoty, czy też może stać za tym coś de facto gorszego – a następnie podejmowali adekwatne działanie. Żebyśmy tłumaczyli, gdzie tylko się da, kto jest wrogiem urojonym, kto względnie mało istotnym, a kto najbardziej bezpośrednim. I wymagali od polityków i urzędników, by stanęli wreszcie na wysokości zadania, bo wolontariacka aktywność zwykłych Kowalskich, choć bardzo cenna, z pewnością nie wystarczy w konfrontacji z profesjonalnym aparatem agresora.

Gra idzie o najwyższe stawki, a inwestycje w czołgi, rakiety i samoloty okażą się bezużyteczne, gdy większość naszych europejskich społeczeństw nie zechce skierować luf przeciwko „Rosji, która nie jest naszym wrogiem". Lub gdy owa większość dobrowolnie postanowi porzucić ukraińskich sojuszników, dając oddech i rozpęd moskiewskiemu reżimowi, a następnie równie dobrowolnie, demokratycznie i całkiem pokojowo zainstalować u siebie namiestników Kremla. Wtedy na refleksję i opamiętanie będzie już zdecydowanie zbyt późno. ©℗

Autor jest wykładowcą Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, przewodniczącym Rady i analitykiem Fundacji Po.Int, publicystą DGP

eprasa.pl 9067552c20

Gospodarka

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Pytania o przyszłość LOT-u

Marek Serafin

Decydenci, przede wszystkim szefowie spółki CPK, wręcz zalewają nas informacjami, jak dynamicznie realizowany jest projekt Port Polska; niedługo ma być wbita w końcu symboliczna pierwsza łopata. Za to o wiele rzadziej przekazują wiadomości dotyczące otoczenia biznesowego projektu, PLL LOT i globalnego rynku lotniczego; a jeśli nawet to zrobią, to w tych informacjach nie ma prób analiz tego, co się dzieje w branży. A dzieją się rzeczy ważne.

Dużo umów B2B

Od powstania pomysłu budowy centralnego lotniska mówiono, że sukces projektu uzależniony jest od ogromnego awansu rynkowego polskiej linii. A skok ten nie jest możliwy bez zmiany lotniska bazowego, gdyż warszawski port Chopina jest zapchany. Entuzjaści projektu – dziś Portu Polska, wówczas CPK – wskazywali na bardzo szybki rozwój LOT w latach 2016–2019 oraz na dobre wyniki cywilnego lotnictwa po pandemii.

Ale na setkach stron analiz nie odniesiono się do jednej z kluczowych kwestii: dzięki czemu LOT rozwija się szybciej niż konkurenci? Odpowiedź pozostaje prosta – bo ma dużo niższe koszty osobowe. Krzysztof Loga-Sowiński, w analizie opublikowanej na portalu Pasażer.com, wykazał, że w 2023 r. LOT był pod tym względem europejskim liderem – szacowany udział kosztów osobowych w kosztach operacyjnych wynosił 7,8 proc. Mniej nawet niż w tanich liniach: w Wizz Air było to 11 proc., zaś w Ryanairze – 13,2 proc. Różnica w przypadku linii tradycyjnych była ogromna: w SAS – 18 proc., w Grupie Lufthansy – 25,3 proc. To dzięki temu LOT mógł walczyć przede wszystkim o pasażerów wrażliwych cenowo, szczególnie tranzytowych.

Źródłem tej sytuacji był i jest istotnie niższy poziom płac w Polsce w porównaniu z Europą Zachodnią. Ale jest też drugi czynnik. To wyjątkowo szerokie korzystanie przez LOT z umów B2B. Zatrudnienie w tym systemie oznacza bardzo duże oszczędności i dla pracodawcy, i dla pracownika. Szczególnie w przypadku osób o bardzo wysokich zarobkach. I to nie przypadek, że ok. 80 proc. pilotów latających dla polskiej linii jest zatrudnionych B2B. Podobna sytuacja dotyczy personelu pokładowego.

W 2023 r. firma miała niecałe 40 proc. pracowników etatowych, a w 2025 r. już ok. 33 proc. W przypadku personelu latającego ważne są nie tylko obciążenia finansowe, lecz także znacznie większa elastyczność w korzystaniu z usług pilotów i stewardes. Chodzi o sezonowość – większe zapotrzebowanie na ich pracę jest latem, a mniejsze zimą. W przypadku B2B nie obowiązuje też wiele uprawnień wynikających z kodeksu pracy. Dotyczy to łatwiejszego rozwiązywania umów, świadczeń chorobowych oraz urlopowych itd. A to przekłada się na istotne oszczędności dla firmy.

Jeszcze przed wybuchem pandemii zwracałem uwagę, że utrzymanie tej przewagi przez LOT będzie coraz trudniejsze. Po pierwsze, szybko zmniejszają się różnice między płacami w Polsce i na Zachodzie; a po drugie – jest wątpliwe, czy w długim horyzoncie korzystanie w tak szerokim zakresie z B2B będzie możliwe. Już wtedy Komisja Europejska ogłosiła, że zacznie się przyglądać tej sprawie, bo to zaburza konkurencję. Po pandemii sprawa ucichła, ale być może jeszcze wróci.

Natomiast w Polsce w tym czasie ogłoszono rewolucję: wprowadzono rozwiązania prawne, które mają skutecznie walczyć z „fałszywymi" umowami B2B. Problem nabrał ogromnych rozmiarów, bo, jak szacuje GUS, obecnie jest ok. 0,5 mln takich kontraktów. W ciągu niewielu lat liczba ta wzrosła pięciokrotnie. Negatywne skutki dla naszego budżetu są już gigantyczne. A dochodzi też czynnik „sprawiedliwości podatkowej". Będący na B2B pracownicy mający dochody wielokrotnie wyższe niż średnia krajowa płacą proporcjonalnie znacznie niższe podatki i składki niż etatowcy.

W wielu publikacjach dotyczących B2B autorzy wspominają o systemie zatrudnienia zastosowanym w PLL LOT, lecz nie próbują odnieść się do kwestii, jakie znaczenie dla linii będzie miało ograniczanie możliwości korzystania z tego typu umów. Tymczasem kilka tygodni temu ogłoszono, że PIP rozpoczęła kontrolę umów B2B w Locie oraz w spółkach zależnych. Przede wszystkim tych, poprzez które LOT „wynajmuje" pilotów i personel pokładowy.

Być może wyniki kontroli będą miały ograniczony wpływ na strukturę zatrudnienia. Ale należy podkreślić, że gdy myślimy o wieloletniej strategii LOT oraz o realnych możliwościach wypełnienia Portu Polska pasażerami przewożonymi przez tę linię, szczególnie tranzytowymi, analiza musi dotyczyć trendów zmian po stronie kosztowej w bardzo długim horyzoncie czasowym. A w tym przypadku bardzo prawdopodobne jest, że LOT nie będzie w stanie utrzymać obecnej struktury zatrudnienia.

Drożejące paliwo

Kwestia konkurencyjności kosztowej ma dla LOT fundamentalne znaczenie. I to nie tylko w odniesieniu do walki z liniami tradycyjnymi, głównie o ruch tranzytowy, lecz także do prób rywalizacji z przewoźnikami tanimi oraz czarterowymi. Już pobieżna analiza zmian w strukturze siatki połączeń pokazuje, że coraz większe znaczenie mają trasy, na których dominuje ruch wrażliwy cenowo.

Uważam, że jest konieczny audyt dotyczący zarówno sytuacji finansowej LOT, jak i trendów zmian. To działanie ma związek z kolejną istotną kwestią: rosnącymi cenami paliwa. Odpowiadając na interpelację poselską, przedstawiciel resortu infrastruktury podał, że według spółki wydatki na paliwo, w porównaniu z planowanymi, wzrosną o 1,3 mld zł. Zaznaczył przy tym, że realny wzrost będzie mniejszy dzięki transakcjom hedgingowym/zabezpieczającym.

Jednak LOT, w odróżnieniu od konkurentów, nie podaje choćby najbardziej ogólnych informacji dotyczących takich zabezpieczeń. Ale jedno jest pewne – one mogą tylko zmniejszyć straty.

Kilka tygodni później wiceminister infrastruktury Piotr Malepszak informował, że w Locie udział kosztów paliwa wzrósł od początku wojny USA z Iranem z 25 proc. do 40 proc. Już teraz przekłada się to na kwotę przekraczającą 1 mld zł. A gdy patrzymy na konflikt w Zatoce Perskiej, to bardzo wątpliwe jest szybkie jego zakończenie. Zatem straty LOT na paliwie będą rosły. A na dodatek wielu ekspertów uważa, że nawet po zakończeniu wojny ceny paliwa lotniczego jeszcze dość długo będą zdecydowanie wyższe niż w 2025 r.

Ryzyka dla LOT związane z ogromnymi podwyżkami cen paliwa są tym większe, że w 2026 r. firma zdecydowanie zwiększa swoją ofertę przewozową (latem na trasach międzynarodowych wzrost wyniósł prawie 20 proc.). Zatem linia otrzymuje nowe samoloty, ale przy uruchomianiu nowych połączeń oraz dużym wzroście liczby oferowanych foteli spada rentowność – głównie dlatego, że walcząc o zwiększenie udziału w rynku musi stosować niskie ceny. A, dodatkowo, w przypadku obecnej strategii LOT, polegającej na koncentrowaniu się na trasach, na których dominuje tani ruch, przewoźnik ma ograniczone możliwości ich podnoszenia. Również dlatego, iż jego głównymi konkurentami są tanie linie.

Kiepskie finanse

LOT opublikował niedawno sprawozdanie finansowe za 2025 r. Zgodnie ze złą tradycją jest ono sporządzone w sposób, który uniemożliwia w miarę rzetelną analizę, szczególnie po stronie kosztowej. Na przykład aż 63 proc. kosztów stanowi jedna pozycja – usługi obce. A w niej są zawarte bardzo różne elementy,

eprasa.pl 9067552c20

nawet płatności B2B. Te z kolei możemy tylko szacować, patrząc na sprawozdanie finansowe spółek zależnych, które zawierają w imieniu LOT umowy cywilnoprawne zamiast zwykłych umów o pracę.

Jednak nawet z tak sporządzonego sprawozdania możemy wysnuć istotne wnioski. Dotyczą one przychodów linii. Z przewozów pasażerskich w 2025 r. wyniosły one niecałe 9,5 mld zł i wzrosły w porównaniu z 2024 r. o 3 proc., ale w porównaniu z 2023 r. już tylko o 1,2 proc. Tymczasem LOT cały czas inwestował w nowe połączenia i zwiększał liczbę oferowanych foteli. I w ubiegłym roku na trasach międzynarodowych przewiózł 9,8 mln pasażerów – o 8,6 proc. więcej niż w 2024 r. i aż o 17,4 proc. w porównaniu z 2023 r. Jeszcze gorzej wygląda sytuacja cargo. W 2025 r. przychody wyniosły 435 mln zł. Mniej o 7,1 proc. w porównaniu z 2024 r. i o 10,8 proc. w porównaniu z 2023 r.

Jak to wytłumaczyć? To efekt coraz trudniejszej sytuacji konkurencyjnej. LOT rozwija połączenia i zwiększa liczbę foteli na trasach, na których dominuje ruch wrażliwy cenowo. Wchodzi więc w bezpośrednią konkurencję z tanimi liniami. A te rozwijają ofertę w tempie znacznie szybszym. W 2025 r. Ryanair przewiózł na trasach międzynarodowych z i do Polski 18,33 mln pasażerów – to wzrost w porównaniu z 2019 r. aż o 56,8 proc. Te dane dla LOT: 8,74 mln pasażerów i wzrost o 7,3 proc.

Strategię rozwoju połączeń, na których dominuje tani ruch, nawet w sposób jeszcze bardziej zdecydowany, LOT kontynuuje w tym roku. Dodatkowo rozwija połączenia z punktów regionalnych, czyli tam, gdzie nie może liczyć na ruch tranzytowy. To wszystko musi budzić poważne obawy, co do jego wyniku finansowego w 2026 r.

W przypadku cargo powód spadku przychodów przy rosnących przewozach jest podobny: coraz szersza oferta spedytorów wykorzystujących wielkie samoloty frachtowe. Ponieważ wielu decydentów i dziennikarzy wciąż zwraca uwagę na ogromny potencjał wzrostu przewozów cargo w Porcie Polska, warto tu dodać jedną informację. Pisałem już o trzech konkurentach dla lotniska w Warszawie: to Frankfurt, Lipsk i Budapeszt. Ale „cichcem" pojawił się nowy – w kraju. To Katowice. Tam rozwijają bazy przewoźnicy all-cargo, ostatnio chiński i katarski. Uwzględniają na pewno trudną sytuację slotową w porcie Chopina. Ale są inne, ważniejsze powody. Na południu Polski znajdują się główne centra przemysłowe. A dodatkowo z Katowic jest bliżej do rynków Europy Środkowej niż z Warszawy. I tu nic się nie zmieni po otwarciu lotniska w Baranowie. Już w tym roku przewozy cargo w Katowicach powinny być na poziomie zbliżonym do połowy przewozów w porcie Chopina.

Ze sprawozdania finansowego LOT można wyciągnąć jeszcze jeden wniosek. To pogarszająca się płynność finansowa linii. Na koniec 2024 r. przewoźnik miał 1,2 mld zł w gotówce i jej ekwiwalentach. Rok później – 901 mln zł. Może wydawać się, że to dużo. Jednak są to tylko miesięczne przychody linii. A co ważniejsze, na przełomie lat 2026 i 2027. LOT będzie musiał spłacić ostatnią ratę kredytu zaciągniętego na preferencyjnych warunkach na początku pandemii – 450 mln zł. A dodam jeszcze, że linia musi już płacić spore zaliczki na poczet zakupu Airbusów A220. W 2025 r. było to ok. 280 mln zł. W połączeniu z dramatycznie rosnącymi kosztami paliwa musi to budzić poważne obawy. I jest, moim zdaniem, wystarczającym uzasadnieniem dla audytu finansowego linii. I to audytu merytorycznego, który pokaże najbardziej prawdopodobne trendy zmian i zagrożenia.

Wciąż nie ma strategii

Ktoś mógłby zapytać: czy nie wystarczy informacja ze strony szefostwa linii? Myślę, że w takich skomplikowanych sytuacjach potrzebna jest opinia zewnętrzna. Ale jest też dodatkowy argument za niezależnym audytem. To sytuacja we władzach PLL LOT.

Obecni decydenci nie dokonali w nich istotnych zmian. Za przewoźnika odpowiadają ludzie, którzy na polityczne zamówienie realizowali strategię ultraszybkiego rozwoju linii, bo tylko to uzasadniało budowę CPK. Firmowali materiały przekazywane konsultantom przygotowującym analizy rynkowe, w tym prognozy ruchu. Bez jakichkolwiek rzetelnych analiz informowali o planach rozwoju floty LOT – planach, które tylko z niewielką przesadą można nazwać księżycowymi.

W przypadku dużych inwestycji kluczowe znaczenie ma analiza wrażliwości, rozpoczynająca się od wymienienia najważniejszych zagrożeń dla powodzenia projektu, a potem ich szczegółowego omówienia. Niestety w przypadku projektu CPK/PP takiej analizy nie przeprowadzono. Najważniejsze zagrożenia po prostu zignorowano. W przypadku budowy nowego hubu kluczowe znaczenie ma analiza najpierw bieżącej, a później prognozowanej pozycji konkurencyjnej linii lotniczej, która ma być w nim bazowana.

Niestety, postąpiono tak, jak w przypadku projektów napędzanych wolą polityczną. Liczą się aspiracje i elementy godnościowe, a na niewygodne sprawy zamykamy oczy. LOT mógł iść pod prąd trendu konsolidacyjnego wśród linii lotniczych, dzięki dużej konkurencyjności kosztowej. A nie zastanowiono się, czy tak duża przewaga będzie trwać wiecznie. A po pandemii pojawił się nowy, równie ważny element. Zmiany w strukturze rynku spowodowały, że zdecydowanie rósł nacisk konkurencyjny ze strony tanich linii. A to one mają nad LOT-em przewagę kosztową.

Zdaję sobie sprawę, że ze względu na bardzo ograniczony dostęp do informacji dotyczącej wyników LOT, jak również, między innymi, na niepewność, co do tempa i sposobu wprowadzania zmian prawnych dotyczących umów B2B, nie powinno się formułować zdecydowanych wniosków. Ale pytania i wątpliwości są na tyle poważne, że my, podatnicy, jako prawdziwi inwestorzy w PP mamy prawo apelować o dodatkowe analizy dotyczące licznych zagrożeń dla projektu.

Na koniec informacja smutna dla wszystkich właścicieli LOT i osób inwestujących w Port Polska. Przez 30 miesięcy rządów obecni decydenci nie byli w stanie przygotować nowej strategii rozwoju polskiego systemu transportu lotniczego. Tymczasem wszystkie kluczowe decyzje dotyczące budowy PP już zapadły. Jest oczywiste, że kolejność winna być odwrotna. To najmocniejszy dowód na to, że o wszystkim decydował marketing polityczny, a nie względy merytoryczne.

Dlaczego tak się stało? Nie da się pogodzić sytuacji na rynku lotniczym z koncepcją jak najszybszej budowy nowego wielkiego hubu, przeznaczonego głównie dla ruchu tranzytowego. Prezes PLL LOT zapowiadał, że jesienią 2025 r. powstanie nowa, alternatywna strategia rozwoju linii. Minął prawie rok, a strategii wciąż nie ma...

Cóż, ogromne zmiany w strukturze rynku kolidują z ambicjami LOT, który chce awansować do grupy europejskich liderów. A poza tym trzeba by się odnieść do wciąż obowiązującego planu podboju Azji przez LOT i Port Polska. A ten nie jest możliwy bez uzyskania prawie nieograniczonego dostępu do przelotów trasą transsyberyjską. A nie można na to liczyć, znając obecny i prognozowany stan naszych relacji z Rosją. ©℗

Autor w latach 1976–2009 pracował w PLL LOT na stanowiskach kierowniczych w pionie handlowym. Współzałożyciel portalu PRTL.pl oraz jego redaktor prowadzący w latach 2010–2018

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Geopolityka rządzi złotem

Artur Klimek

Informacje o kupnie złota przez banki centralne lub jego relokacji zawsze przyciągają uwagę. Bank Goldman Sachs podaje, że przed pełnoskalową inwazją Rosji na Ukrainę w 2022 r. kupowały one rocznie ok. 500 t tego kruszcu. Teraz to niemal 1 tys. t. A ponieważ podaż złota jest dość stała, to na inne cele – inwestycje bądź biżuterię – zostaje go po prostu mniej (co wpływa m.in. na ceny ozdób).

Zasoby złota

Ludzkość wydobyła dotychczas ponad 222 tys. t złota o wartości 29 bln dol. (World Gold Council). Ta wartość jest tylko trochę niższa od PKB Ameryki. Większość kruszcu została pozyskana w ostatnim stuleciu; szacuje się, że do wydobycia zostało ok. 154 tys. t (w tym złoża trudno dostępne). I na tym koniec, przynajmniej jeśli chodzi o Ziemię.

Najwięcej złota przyjęło formę biżuterii. Na potrzeby inwestycyjne pozostała mniej niż połowa jego światowych zasobów – ich szacunkowa wartość to ok. 13 bln dol. W porównaniu z PKB Polski to sporo – 13-krotnie więcej. Ale kilkukrotnie mniej niż wartość spółek na amerykańskich giełdach.

Dla inwestorów indywidualnych minęły już czasy, gdy trzeba było kupić całą sztabkę. Dziś nie trzeba nawet fizycznie nabywać kruszcu, bo nastąpił rozwój papierowego złota, instrumentów finansowych od niego zależnych. Dzięki temu inwestowanie w nie stało się łatwiejsze i dostępniejsze. To wpłynęło na zwiększenie zainteresowania nim ze strony inwestorów indywidualnych.

Przeciwwaga dla AI

Cenę złota należy rozpatrywać w połączeniu z geopolityką, ze stopami procentowymi, zmianami we wzorcach konsumpcji oraz technologii. Ubiegły rok był przełomowy dla inwestujących w kruszec. Systematyczny wzrost ceny uncji na przestrzeni 2025 r. z ok. 2,6 tys. dol. do ponad 4,3 tys. dol. rozbudził nadzieje na dalsze pokaźne zyski. Cena metalu sięgnęła aż 5,4 tys. dol. na początku tego roku, by spaść do 4,2 tys. dol.

Mimo korekty gorączka złota nie mija. Bo w długim terminie dawało ono zarobić: zwrot na nim w ciągu ostatniego ćwierćwiecza był mniej więcej dwukrotnie wyższy niż z S&P 500, głównego indeksu Wall Street (przy wycenie zarówno akcji, jak i złota w dolarach; w polskich realiach należy również uwzględnić zmianę kursu dolara do złotego). ▷

eprasa.pl 9067552c20

Obecna wycena jest zależna od poziomu stóp procentowych w najważniejszych gospodarkach. Problem z kruszcem jest taki, że nie wytwarza on strumienia odsetek, zaś obligacje i lokaty bankowe – tak. Im więc wyższe stopy procentowe, tym większy koszt alternatywny trzymania kruszcu. A banki centralne USA, strefy euro czy Japonii zaostrzają politykę monetarną.

Złoto to sposób na dywersyfikację portfela inwestycyjnego. Jednym z elementów zwiększających popyt na nie mogą być zyskujące na wartości w ostatnich latach indeksy giełdowe. Jeśli strategia inwestycyjna zakłada utrzymywanie 5 proc. lub 10 proc. w złocie, wówczas szybko rosnąca wartość portfela akcyjnego wymusza dalsze zakupy kruszcu. Jednocześnie obawy dotyczące pęknięcia bańki AI powodują, że inwestorzy większą wagę przywiązują do fizycznych elementów portfela. Tym bardziej że wiele aktywów finansowych, nawet tak nieoczywistych jak obligacje skarbowe, jest powiązanych z inwestycjami w AI, choćby przez konkurencję o kapitał. To pewnego rodzaju przeciwwaga dla wirtualnych zasobów. Im dalej sięga ucyfrowienie zasobów, tym większą rolę odgrywają fizyczne składniki majątku.

Wielkie przenosiny

Zakupy dokonywane przez banki centralne są czynnikiem cenotwórczym. Akumulacja złota przez te instytucje nie jest jednak zjawiskiem uniwersalnym. Dotyczy to banków krajów wschodzących. Szczególnie po kryzysie z 2008 r. Chiny oraz Turcja dokonywały dużych zakupów złota. Do tej grupy należała też Rosja przed atakiem na Ukrainę w 2014 r. Zakupy przez banki państw BRICS można wiązać z ich deklaracjami większego uniezależnienia się od systemu finansowego opartego na dolarze, w którym to USA odgrywają kluczową rolę i mogą stosować zarówno sankcje ograniczające dostęp do aktywów zgromadzonych w tej walucie, jak i płatności dolarowe.

Niepewność powoduje, że każdy stara się trzymać swoje złoto jak najbliżej. Nawet oczywiste lokalizacje, takie jak USA, przestały już być oczywiste. Ostatnio obiegła świat informacja o decyzji Holandii o przeniesieniu 78 t z Nowego Jorku do Londynu. Oficjalnie podano, że przyczyną są zawirowania geopolityczne, ale można to odczytać jako spadek zaufania do amerykańskiej polityki.

Wcześniej Niemcy także dokonały rotacji miejsc przechowywania złota (zakładają utrzymywanie podobnych ilości kruszcu w Niemczech, USA i Wielkiej Brytanii). Od 2013 r. Bundesbank przenosił je z Francji do Niemiec, bo nie znajdował uzasadnienia dla trzymania go w tym samym obszarze walutowym. W tym samym czasie wycofał z USA ok. 300 t, ciągle pozostawiając tam ok. 1,2tys. t. A Nowy Jork i Londyn to nie tylko oddzielne systemy walutowe, lecz także główne miejsca obrotu kruszcem. Jednak już w początkach tego roku pojawiły się głosy, aby resztę złota przenieść ze Stanów w obawie przed nieprzewidywalną polityką Donalda Trumpa. Podobna dyskusja odbywa się we Włoszech.

Krach i co wtedy?

Otwarte pozostaje pytanie o sposób wykorzystania rezerw złota w czasie kryzysu. Załóżmy, że mamy globalny krach, a dolar nie spełnia już funkcji bezpiecznej przystani (to jest jeden z argumentów na rzecz gromadzenia rezerw w kruszcu). Wtedy banki centralne dokonają stabilizacji gospodarek za pomocą sprzedaży metalu. Jednak duża podaż kruszcu obniża jego cenę, co zmniejsza wartość zasobów, które jeszcze są w skarbcach.

Rzadko rozważa się także scenariusze fizycznego użycia złota, które trzeba wymienić na inne rzeczy – mogą to być np. broń czy żywność. A przecież druga strona transakcji będzie musiała w jakiś sposób je zagospodarować. Czy więc sprzedawca uzbrojenia zacznie płacić dostawcom i pracownikom uncjami złota?

Zatem nie powinno się postrzegać tego szlachetnego kruszcu jako jedynej bezpiecznej i pewnej inwestycji, bo jeśli wszystko inne upadnie, to złoto też zmieni swoją wartość. Niekoniecznie na taką, jakiej oczekują najzagorzalsi jego zwolennicy. ©℗

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu

Społeczeń

Po raku nie da się wejść w stare buty

Przejście przez leczenie to początek. Potem pojawiają się ogromny strach, pustka i pytanie: „Mam żyć normalnie? Tylko co to właściwie oznacza?”

Z Adrianną

Sobol

rozmawia Renata Krupa-Dąbrowska

> Różowy Październik to miesiąc świadomości raka piersi. Mówi się dużo o profilaktyce, o badaniach, o wczesnym wykrywaniu, natomiast znacznie mniej o tym, co się dzieje później, o kobietach, które są w trakcie terapii lub mają to już za sobą. Ich życie wcale nie jest różowe.

Kiedy otrzymuje się diagnozę, świat wywraca się do góry nogami. To sytuacja absolutnie graniczna. Trzeba się odnaleźć w nowej rzeczywistości, a choroba wpływa na wiele różnych obszarów życia. To nie tylko kwestia leczenia i tego, jak się podczas niego funkcjonuje. To jest test dla bliskich, dla otoczenia.

> Często nie wiemy, jak się zachować. Mówienie osobie w trakcie chemioterapii, że dobrze wygląda, albo osobie z rozsianym rakiem, że wszystko będzie dobrze, chyba jest nie na miejscu...

To prawda. Bardzo często, nawet jeśli możemy liczyć na wsparcie najbliższych czy otoczenia, oni również nie radzą sobie z tak ekstremalną sytuacją. Nie wiedzą, co to znaczy, jak wspierać, właśnie co mówić, czego nie mówić. Niejednokrotnie chory słyszy słowa, które są wypowiadane w dobrej intencji, ale zamiast pomagać, frustrują czy wręcz denerwują: „Tak pięknie wyglądasz”, „To niemożliwe, że jesteś chora”, „Dasz radę”, „Kto, jak nie ty?” czy „Bądź dzielna”. A pacjentki potem przychodzą do mnie i mówią: „Kurczę, ja już nie mam siły być dzielna. Chcę pozwolić sobie na słabość”.

> Co chora powinna usłyszeć? „Pamiętaj, że możesz na mnie liczyć. Zawsze jestem obok. Powiedz mi, czego potrzebujesz. Przejdziemy przez to razem, nie jesteś sama”.

> Silna psychika jest bardzo ważna, tymczasem w szpitalu można liczyć przede wszystkim na wsparcie onkosiostry, czyli drugiej pacjentki. Proszę się nie obrazić, ale o wiele częściej niż na pomoc psychoonkologa.

Rzeczywiście, dostęp do psychoonkologa jest pewnego rodzaju luksusem. Taka jest prawda. Są lepiej zorganizowane ośrodki, w których na oddziale rzeczywiście jest psycholog i pacjenci mogą liczyć na jego wsparcie, ale są też takie miejsca, gdzie istnieje on właściwie tylko na papierze. Pacjenci często nawet go nie widzą, by nie wspomnieć już o realnym dostępie do pomocy. Wsparcie od innych pacjentek jest często najbardziej namacalne. Jak jestem na oddziale, z ogromnym uznaniem, ale też uśmiechem obserwuję, jak pacjentki czekające na wyniki badań przed chemioterapią spotykają się w szpitalnej kawiarni. Siedzą przy herbacie, rozmawiają, dzielą się swoimi doświadczeniami i wzajemnie się wspierają. Moim zdaniem to naprawdę bardzo ważne.

> Podam przykład. Znajoma po wyjściu ze szpitala miała kryzys. Zadzwoniła do przychodni psychoonkologii w Narodowym Instytucie Onkologii w Warszawie, w którym się leczyła. Potrzebowała pilnie porozmawiać z psychologiem. Usłyszała, że najbliższy termin jest za rok.

eprasa.pl 9067552c20

stwo

To, o czym pani mówi, dzieje się tu i teraz. Kryzys nie pojawia się wtedy, kiedy jest wolny termin u psychoonkologa. Pacjent potrzebuje pomocy w momencie, kiedy naprawdę jej potrzebuje, a nie za rok czy dwa. Pacjent nie może tak długo czekać. Z przykrością muszę powiedzieć, że psychoonkologów wciąż jest za mało. W wielu szpitalach psychoonkologia nadal jest traktowana jak dodatek, a nie jak ważna część leczenia pacjentów. Tymczasem według danych NFZ co roku przybywa ok. 20 tys. nowych przypadków raka piersi. To jednak niejedyny nowotwór. Pacjenci z innymi chorobami nowotworowymi również potrzebują wsparcia psychoonkologicznego. W rezultacie na wizytę na NFZ czeka się rok.
W związku z tym wsparcie między pacjentami stanowi naprawdę bardzo ważną część całego systemu pomocy. Nie chcę powiedzieć, że zastępuje ono wsparcie specjalistów, ale z pewnością jest jego ważnym uzupełnieniem. Bardzo kibicuję takim formom wsparcia, rozmowom i dzieleniu się doświadczeniami. Bo kto lepiej zrozumie pacjenta niż drugi pacjent?
Ale pamiętajmy też, że są sytuacje, w których niezbędna jest profesjonalna pomoc. Rodzina czy onkosiostra nie zastąpią psychologa. Często trzeba realnie przyjrzeć się strachom, lękom i obawom, a następnie znaleźć skuteczną strategię, żeby sobie z nimi poradzić.

Chodzi również o sposób komunikacji. Moja znajoma usłyszała, że nie powinna podnosić głosu, a za kolejkę może „podziękować NFZ-owi".

To, co pani opisuje, bardzo mnie porusza. W psychoonkologii komunikacja nie jest dodatkiem do leczenia, tylko jego częścią. Kobieta, która dzwoni do poradni, często robi to w jednym z najtrudniejszych momentów życia, a ta pierwsza rozmowa, nawet z rejestracją, jest już pierwszym kontaktem z pomocą. Długi czas oczekiwania to problem systemowy, ale sposób przekazania tej informacji zależy od konkretnych ludzi. Można powiedzieć: „Wiem, że to bardzo długo. Zapiszę panią, a w międzyczasie proszę zapytać o psychologa w szpitalu, w którym się pani leczy". To ta sama informacja, a zupełnie inne doświadczenie. Słowa „proszę mówić ciszej" i „niech pani podziękuje NFZ" zawstydzają i odbierają prawo do naturalnych w tej sytuacji emocji. Dla osoby w kryzysie mogą być powodem, by w ogóle zrezygnować z szukania pomocy. Przeciążenie personelu może tłumaczyć takie sytuacje, ale ich nie usprawiedliwia. Dlatego szkolenia z komunikacji powinny obejmować cały zespół placówki onkologicznej, nie tylko lekarzy i psychologów.

W trakcie leczenia większość czasu spędza się na szpitalnych korytarzach, ciągle się czeka. Dla zdrowej osoby jest to trudne, a co dopiero dla chorej.

To prawda, ale mam też wrażenie, że często obrywa się za to lekarzom, a w rzeczywistości problem jest dużo głębszy, systemowy. Pracuję na oddziałach onkologicznych od 16 lat i widzę, że niewiele się zmienia, i to najbardziej mnie smuci. Oczywiście są podejmowane różne próby i starania, ale przez cały czas jest tak, że gdzieś po drodze umykają te najważniejsze kwestie.

Co z tym systemem jest nie tak? Brakuje pieniędzy?

Myślę, że to nie chodzi o brak pieniędzy, lecz o zarządzanie. Brakuje onkologów. Podstawą dobrego leczenia jest dobra komunikacja. Jeśli lekarz danego dnia ma przyjąć 30, 40, a nawet 50 pacjentów, to gdzie tam jest miejsce na komunikację? Gdzie jest miejsce na rozmowę z pacjentem? Lekarze sami też nie są w stanie unieść i przerobić wszystkich emocji. To są zawsze bardzo trudne rozmowy, dotyczące skrajnych sytuacji.
A co w sytuacji, kiedy nie ma czasu na te rozmowy? Do tego dochodzi wymóg ogromnej precyzji. Im lepszy mamy dostęp do nowoczesnych form terapeutycznych, tym większej. Nikt sobie nie zdaje sprawy, jaka to jest odpowiedzialność lekarza, który musi zlecić bardzo nowoczesne leczenie i musi wszystko dobrze rozpisać. Niestety, zainteresowanie onkologią nadal się nie zwiększa. Sama wykładam i kiedy pytam moich studentów o ich wybór specjalizacji, to nie myślą o onkologii, bo ona wciąż wydaje im się nieatrakcyjna, nieważna i niedochodowa. A jednocześnie te statystyki, które pokazują skalę wypalenia zawodowego wśród personelu medycznego, nie są wzięte znikąd. Z badania zdrowia psychicznego medyków, które przeprowadziła Fundacja Polki w Medycynie, wynika, że aż 95 proc. badanych doświadczyło przewlekłego stresu związanego z odpowiedzialnością za życie i zdrowie pacjentów. Ponad 60 proc. zetknęło się z agresją słowną lub fizyczną ze strony pacjentów albo ich rodzin. Badanie pokazało również, jak dużo czasu medycy spędzają w pracy. Średnio pracowali ponad 60 godzin tygodniowo, a ponad połowa uczestników robiła to w systemie zmianowym. Autorzy badania wskazali na związek między większym obciążeniem pracą a gorszym dobrostanem psychicznym. Tymczasem zaledwie 30 proc. badanych skorzystało z pomocy specjalisty. Wśród najczęściej wskazywanych powodów znalazły się brak czasu, wstyd, obawa przed stygmatyzacją oraz brak wiedzy o dostępnych formach pomocy. Czasami mam wielkie obawy, że wkrótce nie będzie komu nas leczyć.

Czyli lekarze, tak jak pacjenci, czują się sami ze swoimi problemami?

Tak, a jednocześnie są mocno wystawieni na krytykę. Nie chcę nikogo bronić, ale tak jest. Widzę oczywiście także drugą stronę. Z przykrością słucham pacjentów, którzy mówią, że jedyne, czego potrzebowali w procesie leczenia, to szacunek. A czasami nawet tego nie dostają. Ale musimy zobaczyć dwie strony medalu. Bo czasami są też bezwzględność i bezduszność tego systemu.

Ale za tą bezdusznością zawsze stoi człowiek i w wielu przypadkach można jej uniknąć. Tak jak w przypadku tego przykładu z poradni psychoonkologicznej.

Ma pani rację. Czasem trudno jest zauważyć, że po drugiej stronie jest człowiek, który się boi, który też pewnych rzeczy nie rozumie.

I po skończeniu terapii czasem tęskni za szpitalem...

Nie ma w tym niczego dziwnego. Przez rok, a czasem nawet dłużej, życie toczy się w określonym rytmie, od jednej wizyty w szpitalu do drugiej. Leczenie wyznacza codzienność. A potem nagle się kończy. I pojawia się pytanie: „Co dalej?". Naturalnie pojawia się też tęsknota za tym rytmem, a wraz z nią zagubienie, przerażenie.

Czy po raku da się po prostu wrócić do życia sprzed choroby?

Zdecydowanie nie, bo koniec terapii nie oznacza końca chorowania, także w wymiarze emocjonalnym i psychicznym. Do tego dochodzą skutki uboczne: mgła mózgowa, chore serce, niesprawna ręka, osteoporoza, zakrzepica itd., itp. Nie mam już raka, ale mam inne choroby. Skutki uboczne potrafią naprawdę mocno, mocno dać w kość. Nie zawsze też pojawiają się tuż po wyleczeniu raka, ale po wielu miesiącach, a bywa, że i po latach.

Pokutuje jednak przekonanie, że jak się wygrało z rakiem, to można góry przenosić, realizować marzenia.

Może i w niektórych przypadkach tak jest, ale nie ma ich za dużo. Od wyleczonego, zdrowego człowieka wymaga się, by żył tak jak przed chorobą. A tak się zwyczajnie nie da. Otoczenie tego zazwyczaj kompletnie nie rozumie. „Powrót do normalności" bywa przyczyną konfliktów. Rodziny, które towarzyszyły pacjentowi w chorobie, często uważają: „Dobra, teraz wszystko będzie jak dawniej, tak jak przed chorobą". Tylko że pacjent już nigdy nie wróci do tej samej normalności sprzed choroby. To nie oznacza, że nie będzie wykonywał tych samych obowiązków, że nie wróci do pracy, że nie będzie robił tych samych rzeczy. Ale jego sposób myślenia o sobie i o swoim zdrowiu się zmieni. Ten rodzaj niepokoju zostaje i wpływa na różne sfery życia.
Przejście przez leczenie to pikuś, potem pojawiają się ogromny strach, pustka i pytania: „Mam żyć normalnie. Tylko co to właściwie oznacza?". „Jak mam wrócić do tego mojego dawnego życia? Nikt tak naprawdę obok mnie nie rozumie, przez co przeszłam i czego potrzebuję". W związku z tym ogromną wagę mają też wsparcie psychologiczne, przygotowanie pacjenta do zakończenia terapii i pomoc w budowaniu nowego rozdziału w życiu. Bo pacjent jest już trochę inną osobą. Do tego pacjentom często towarzyszy wzmożony lęk przed nawrotem choroby. Każde kolejne badanie wiąże się ze strachem. Cokolwiek nas zaboli, od razu pojawia się myśl: „Czy to znowu rak?". To jest pewien rodzaj traumy. Żeby poradzić sobie z tym strachem, pacjenci czasami wręcz obsesyjnie zaczynają się kontrolować, co też nie jest dobre.

Wiele młodych kobiet, które cierpiały na nowotwór hormonozależny, musi przejść przez leczenie, które wywołuje na jakiś czas przedwczesną menopauzę. Choć hormonoterapia nie przekreśla szans na macierzyństwo, to wywraca plany do góry nogami. Menopauzę w wieku 35 lat trudno zaakceptować.

Tak, zdecydowanie. Powikłania i trudności związane z obrazem własnego ciała, kobiecością i seksualnością przekładają się także na bliskość i relacje intymne. Pojawiają się różnego rodzaju tematy tabu, takie jak obniżone libido, problemy przy współżyciu czy po prostu strach.
Od osoby, która przeszła raka, oczekuje się, że powinna być szczęśliwa. Niejedna pacjentka przychodzi do mnie i mówi: „Wie pani co, ja myślałam, że jak skończę terapię, to coś na mnie jakby spłynie. Że to się tak wydarzy, że ja teraz w ogóle będę inaczej patrzyła na świat, doceniała każdy kwiatek, każdą roślinkę. A ja w ogóle tego nie czuję. Czuję tylko smutek". Prawda jest taka, że wielu pacjentów po zakończeniu leczenia mierzy się z depresją i zaburzeniami lękowymi. Przez cały czas choroby często zakładają maskę siłacza, żeby przetrwać terapię. Dopiero gdy ono się kończy, emocje, które były odsuwane na bok, wracają ze zdwojoną siłą. ©℗

FOT. BARTOSZ WARDZIAK/ MATERIAŁY PRASOWE

Adrianna
Sobol

psychoonkolog i wykładowca na Wydziale Medycznym Uczelni Łazarskiego. Pracuje w Szpitalu Specjalistycznym im. Świętej Rodziny w Warszawie. Założycielka platformy Zdrowiezaczynasiewglowie.pl i prezes fundacji „W trosce o Pacjenta"

eprasa.pl 9067552c20

Historia

Tego nie da się już zatrzymać

Wielka Brytania przez cały XX w. nie potrafiła znaleźć sposobu na to, by jej fabryki znów zaczęły prosperować

Andrzej

Krajewski

„Winston Churchill wydał obiad 17 marca 1925 r. dla Keynesa i urzędników" – pisze Malcolm Sawyer w opracowaniu „Mr Churchill, Mr Keynes and the UK's Re-Entry to and Exit from the Gold Standard". Ówczesny kanclerz skarbu, mający podjąć decyzję o ewentualnym przywróceniu funtowi parytetu złota, pragnął skonfrontować ze sobą zwolenników i przeciwników tego rozwiązania.

Gorącym jego orędownikiem był premier Stanley Baldwin, domagali się tego również giełdowi inwestorzy oraz prezesi banków. Jak rzadko poparły ich związki zawodowe, obawiające się, że postępująca inflacja uszczupli pensje robotników i urzędników. Przywrócenia standardu złota chcieli też zwykli Brytyjczycy, marzący o powrocie do starych, dobrych czasów. Mimo to Churchill się wahał. „Niemeyer i Bradbury zostali zaproszeni do reprezentowania zwolenników opcji «za», a McKenna i Keynes – zwolenników opcji «przeciw»" – pisze Sawyer.

Lord John Bradbury i sir Otto Niemeyer cieszyli się renomą wybitnych ekonomistów i praktyków, zatrudnianych na kierowniczych stanowiskach w ministerstwie skarbu i Banku Anglii. Więcej sceptycyzmu wobec pomysłu wykazywał Reginald McKenna, szef Midland Banku. Uważał, że powiązanie funta ze złotem przyniesie wzrost wartości brytyjskiej waluty, co zaowocuje deflacją. Ona zaś uderzy w dochody z przemysłu i handlu. Najostrzej powrotowi do przeszłości sprzeciwiał się John Maynard Keynes. Podczas obiadu oświadczył Churchillowi, że jeśli ten przywróci standard złota – i to przy kursie 4,86 dol. za 1 funt – wówczas wszystko, co brytyjskie, zostanie przewartościowane o 10 proc. Zatem, aby ratować handel i fabryki, konieczne stanie się obniżenie pracownikom płac co najmniej o tyle samo. To zaś przyniesie niepokoje społeczne i rząd zafunduje sobie kryzys ekonomiczny wraz z politycznym na własne życzenie.

Jego stanowiska nikt nie poparł. Churchill zwrócił się więc do kogoś, kogo uznawał za najbardziej obiektywnego: McKenny. „To decyzja polityczna; byłeś politykiem, a nawet kanclerzem skarbu. Gdyby decyzja należała do ciebie, jaka by ona była?" – zapytał. W odpowiedzi usłyszał: „Nie ma ucieczki, musisz przywrócić parytet; ale to będzie piekło" – relacjonuje Sawyer.

Koniec złotego snu

Od lata 1925 r. zadziało się to, co przewidział Keynes. Po przywróceniu parytetu złota zbyt mocny funt sprawił, że węgiel z brytyjskich kopalń tracił zagraniczne rynki. Więc właściciele spółek wydobywczych obniżyli górnikom płace o 25 proc. W odpowiedzi związki ogłosiły gotowość do strajku. Próbujący grać na czas premier Baldwin uznał, że jeśli przez dziewięć miesięcy rząd będzie przekazywał kopalniom subsydia na pensje, to z czasem problem sam się rozwiąże. Ale wiosną 1926 r. przywiązany do złota funt pozostawał przewartościowany i płace cięto już w całym przemyśle. Na dokładkę spadek zarobków wymuszał obniżanie cen towarów w sklepach. Zatem gospodarka pogrążała się w duszącej ją deflacji.

Społeczny wybuch nadszedł wraz z wygaśnięciem rządowych dopłat do górnictwa, co oznaczało automatyczną obniżkę zarobków. Najpierw strajk ogłosili górnicy, a 3 maja 1926 r. Kongres Związków Zawodowych (TUC) wszczął strajk generalny. Przystąpiły do niego prawie 3 mln robotników. Tak powszechnego protestu Wielka Brytania jeszcze w swojej historii nie doświadczyła. Kraj został sparaliżowany na dziewięć dni. Rząd musiał użyć wojska, aby odzyskać kontrolę nad kolejami i firmami transportowymi. Do fabryk oraz kopalń wysyłano łamistrajków, chronionych przez policję oraz wojsko. Protesty w końcu stłumiono, lecz nie poprawiało to kondycji gospodarki.

Ta zaczęła się poprawiać dopiero po dokończeniu redukcji płac oraz zatrudnienia. Wówczas rząd spróbował pomóc robotnikom, na których de facto zrzucono koszty przywrócenia parytetu złota. W 1928 r. utworzono agencję Industrial Transference Board, która oferowała pracownikom z upadających fabryk pieniądze i pomoc w przeniesieniu się do tych miast Zjednoczonego Królestwa, gdzie przemysł miał się nadal dobrze. „Było to narzędzie, które przenosiło pracowników do miejsc pracy, a nie miejsca pracy do pracowników, co miało wiele negatywnych skutków dla obszarów, które robotnicy opuszczali" – opisują w monografii „The deindustrial revolution: the rise and fall of UK manufacturing, 1870–2010" Michael Kitson i Jonathan Michie.

Rok później świat ogarnął Wielki Kryzys i na brytyjski przemysł spadła kolejna seria bolesnych ciosów. Jeszcze nim zaczął się krach, Partia Konserwatywna sromotnie przegrała wiosną 1929 r. wybory i Stanley Baldwin został w parlamencie przywódcą opozycji. Zaś oskarżany o zdewastowanie brytyjskiej gospodarki Churchill znalazł się poza polityką. Mimo to przywódca zwycięskiej Partii Pracy James Ramsay MacDonald nadal bronił standardu złota, i to tak zaciekle, że w 1931 r. doprowadził do rozłamu w swoim stronnictwie. Skapitulował dopiero 21 września 1931 r., gdy dalsze cięcia wydatków państwa i płac okazały się niemożliwe.

Seria niefortunnych decyzji

Choć spóźniona, decyzja MacDonalda przyniosła pozytywne rezultaty. „Po odejściu od standardu złota na przełomie 1931 r. i 1932 r., dewaluacja funta, wprowadzenie niskich stóp procentowych oraz ceł ochronnych sprawiły, że produkcja przemysłowa rosła średnio aż o niemal 8 proc. rocznie. Przemysł odpowiadał w latach 1932–1937 za 47 proc. całkowitego wzrostu gospodarczego Wielkiej Brytanii" – podkreślają Kitson i Michie.

Tymczasem za progiem czaiła się już kolejna wojna światowa: i znów Zjednoczone Królestwo musiało sfinansować rozbudowę przemysłu ciężkiego, stoczni oraz fabryk zbrojeniowych, zadłużając się w USA. Ale za to po II wojnie światowej gospodarki głównych konkurentów w Europie – Niemiec, Francji i Włoch – leżały w gruzach, a jednocześnie Wielką Brytanię objęła pomoc w ramach planu Marshalla. „Plan ten najbardziej wyróżniał Anglię wśród krajów europejskich (ponad 3 mld dol. pomocy)" – zauważa Henryk Zins w „Historii Anglii". Poza tym to Brytyjczycy współtworzyli z Amerykanami nową architekturę ekonomiczną powojennego świata na konferencji w Bretton Woods. Czym zawiadywał cieszący się autorytetem John Maynard Keynes.

Tych atutów nie potrafił wykorzystać po 1945 r. rząd premiera Clementa Attlee'ego. Partii Pracy zależało na tym, żeby wreszcie wcielić w życie swój pomysł na państwo zarządzające gospodarką. Na pierwszy ogień poszedł Bank Anglii, będący spółką akcyjną na specjalnych prawach. Po nim przyszła pora na górnictwo. Po powołaniu do życia Krajowej Rady Węglowej (NCB) oddano jej 1 stycznia 1947 r. w zarząd ponad 900 kopalń. Ich właścicielom wypłacono ok. 164 mln funtów odszkodowania w oprocentowanych obligacjach rządowych. W przemówieniu premier Attlee oświadczył, iż wydarzył się „jeden z najwspanialszych dni w historii przemysłu naszego kraju".

I kontynuował reformę. „Brytyjska Komisja Transportu (British Transport Commission) przejęła cały prawie transport publiczny. W tym czasie upaństwowione zostały elektrownie i gazownie" – wylicza Zins. To samo spotkało linie lotnicze, żeglugę śródlądową, transport drogowy, firmy teleko-

AUTOPROMOCJA

eprasa.pl 9067552c20

FOT. ARCHIVE/NTI/EPA/PAP

Brytyjska policja rozpędza protestujących górników. Warwickshire, 27 marca 1984 r.

munikacyjne oraz hutnictwo. W 1951 r. znacjonalizowane przedsiębiorstwa odpowiadały za prawie 20 proc. PKB i zatrudniały ponad 2 mln osób. Swoim pracownikom dawały dobre warunki pracy i w porównaniu z tym, co działo się przed II wojną światową, brytyjscy robotnicy mogli twierdzić, iż bardzo dużo zmieniło się na lepsze. „Okres od 1950 r. do początku lat 70. XX w. nazywany jest «złotym wiekiem», bo wzrost gospodarczy był szybki, bezrobocie niskie, a inflacja mała i stabilna" – piszą Kitson i Michie.

Ale już wówczas zaczęły być widoczne symptomy przyszłego załamania. „Produkcja przemysłowa rosła przez cały ten okres w średnim tempie 3,1 proc. rocznie. W ujęciu historycznym był to wynik wysoki, ale w porównaniu z innymi rozwiniętymi krajami pozostawał stosunkowo niski. Zatrudnienie w przemyśle rosło do 1966 r., po czym zaczęło spadać" – uzupełniają Kitson i Michie.

Brytyjskiemu przemysłowi nigdy nie udało się przezwyciężyć problemu, który trapił go od końca XIX w. – i który sprawił, iż przegrywał on konkurencję z amerykańskim, niemieckim, a po II wojnie światowej także japońskim, a nawet francuskim i włoskim. Działające w Zjednoczonym Królestwie przedsiębiorstwa były zbyt małe i ubogie kapitałowo, by podbijać światowe rynki. Mający się znakomicie sektor finansowy, którego symbolem stało się City, inwestował globalnie, pomnażając zyski poza granicami Wielkiej Brytanii i trzymając się z dala od rodzimego przemysłu.

A ten popadał w marazm. Zwłaszcza przedsiębiorstwa państwowe cechowały rosnąca biurokratyzacja oraz coraz słabsza jakość zarządzających nimi kadr. Kitson i Michie dorzucają: „Powstał szkodliwy system polityczny, który obejmował nacjonalizację, wspieranie upadających przedsiębiorstw, tolerowanie radykalnych związków zawodowych oraz brak skutecznej polityki wspierania konkurencyjności". Tymi alarmującymi trendami w końcu zainteresował się rząd.

Ostatnie próby ratunku

„Po wygraniu wyborów w 1964 r. nowy rząd Partii Pracy przyjął interwencjonistyczną politykę przemysłową. Osiągnęła ona apogeum w 1968 r., kiedy Industrial Reorganisation Corporation (IRC) podjęła próbę restrukturyzacji dużych obszarów brytyjskiego przemysłu" – piszą Roy Edwards i Anthony Gandy w opracowaniu „Enterprise vs product logic: The Industrial Reorganisation Corporation and the rationalisation of the British electrical/electronics industry".

Partia Pracy, podobnie jak za czasów Clementa Attlee'ego, postanowiła przeprowadzić ręcznie sterowane przekształcenie brytyjskiego przemysłu, aby uczynić go konkurencyjnym w skali globalnej. Tym razem kluczem do sukcesu miała być nie nacjonalizacja, lecz komasacja. Ujęto to w planie gabinetu premiera Harolda Wilsona, a zadanie realizacji spoczęło na powołanej do życia w 1966 r. rządowej agencji IRC. Jak opisują Roy Edwards i Anthony Gandy, instytucja ta przypominała dawne „banki kupieckie" i miała prawo „pośredniczyć w transakcjach, a w niektórych przypadkach finansować je z własnych środków. Celem było ułatwienie tworzenia firm zdolnych do konkurowania na arenie międzynarodowej" – podkreślają autorzy. Tak chciano wykreować korporacje przemysłowe, na podobieństwo amerykańskich.

Początkowo inicjowanie i wspieranie fuzji przychodziło IRC całkiem sprawnie. Pod koniec lat 60. mogła się pochwalić sporą ich liczbą, w tym stworzeniem trzech gigantów. Największym z nich był koncern samochodowy British Leyland (BL). „Nowa firma zatrudniała łącznie 250 tys. osób i zdominowała brytyjski sektor produkcji samochodów" – podkreślają Edwards i Gandy. Jedynie nieco mniejszą fuzją stało się przejęcie English Electric Company przez General Electric Company. Dzięki temu doszło do narodzin „gigantycznego przedsiębiorstwa elektrycznego i elektronicznego, zatrudniającego 230 tys. osób i będącego właścicielem marek takich, jak Marconi i Elliott Automation" – piszą Edwards i Gandy. Trzecia z fuzji wydawała się najbardziej przyszłościowa. Z English Electric wydzielono dział produkcji komputerów i przekazano go prężnie się wówczas rozwijającej firmie International Computers and Tabulators (ICT). Tak powstała największa firma komputerowa poza granicami USA, zatrudniająca 35 tys. wysokiej klasy specjalistów.

Ale diabeł tkwił w szczegółach. „Nowe firmy nie były ani wyspecjalizowane, ani wysoce zintegrowane i niekoniecznie działały w sposób, jakiego się od nich oczekiwało" – zauważają Edwards i Gandy. „W 1969 r. starszy menedżer GEC powiedział IRC, że to, co zostało stworzone, to w rzeczywistości 180 średnich firm" – dodają. Każda z nowopowstałych korporacji pozostawała zbiorem rozproszonych przedsiębiorstw bez wspólnej strategii działania. W rezulltacie funkcjonowały one podobnie jak przed fuzją. Zaś centralny zarząd był zainteresowany przede wszystkim wygenerowaniem szybkich zysków dla akcjonariuszy, a nie rozwojem ani podbijaniem innych rynków.

Po mniej więcej 20 latach niezdolne przystosować się do kolejnych rewolucji technologicznych brytyjskie korporacje zaczęły zwijać działalność, wyprzedając fabryki i aktywa. „Ale Wielka Brytania jest usiana pozostałościami po tych firmach" – podkreślają Edwards i Gandy. „Mini, Jaguary i Land Rovery wciąż są produkowane, ale mają innych właścicieli, działa również ICL w brytyjskim sektorze usług technologicznych, będąc własnością Fujitsu" – dodają. Rządowa agencja IRC tego nie doczekała. Decyzję o jej likwidacji ogłosił 27 października 1970 r. konserwatywny rząd Edwarda Heatha.

Tymczasem proces dezindustrializacji Wielkiej Brytanii nabierał rozpędu. Po kryzysie naftowym w latach 70. Zjednoczone Królestwo pogrążyło się w stagflacji. Wysoka inflacja połączona z recesją trwała do czasów przejęcia władzy przez Margaret Thatcher. Konserwatywna premier zafundowała krajowi terapię szokową, prywatyzując wszystko, co niegdyś znacjonalizował Attlee, likwidując górnictwo oraz deregulując i liberalizując funkcjonowanie całej gospodarki. Protestującym związkom zawodowym „Żelazna Dama" przetrąciła kręgosłup. Zaś państwowy interwencjonizm ogłosiła najgorszym złem dla gospodarki.

Ale uwolniony brytyjski przemysł tylko szybciej tracił grunt pod nogami. Od stagflacji jeszcze gorsze okazało się dla niego mocne przewartościowanie funta z powodu wysokich stóp procentowych. Jednocześnie Wielka Brytania konsekwentnie zajmowała ostatnie miejsce wśród gospodarek krajów wysokorozwiniętych w rankingach lokowania kapitału w inwestycjach przemysłowych. Działo się tak w momencie, gdy Londyn pozostawał jedną ze stolic kapitałowych świata. Ale dysponujący olbrzymimi zasobami sektor finansowy trzymał się z dala od rodzimych fabryk. W rezultacie z eksportera wyrobów przemysłowych w latach 80. Zjednoczone Królestwo stało się ich importerem. „W 1870 r. Wielka Brytania była warsztatem świata, a kraj jako całość cieszył się najwyższym dochodem na głowę mieszkańca na globie. Tradycyjnie Zjednoczone Królestwo osiągało nadwyżkę w handlu wytwórczym, aby opłacić import netto żywności, paliwa i surowców" – podkreślają Kitson i Michie.

Ten wydawało się niezmienny stan rzeczy dobiegł końca za rządów Thatcher. To podkręciło tempo dezindustrializacji, a zatrudnienie w brytyjskim przemyśle spadało średnio o 2,6 proc. rocznie. W żadnym z dawnych mocarstw przemysłowych nie następowało to aż tak szybko. Gdy władzę w 1997 r. przejęli znów laburzyści, premier Tony Blair uznał, że nie ma sensu iść pod prąd trendowi i zrezygnował z aktywnej polityki przemysłowej. Tym samym odrzucając spuściznę premierów Attlee'ego i Wilsona. Od tego momentu brytyjscy konserwatyści i socjaliści zgodnie uznawali, że głównym silnikiem rozwoju gospodarczego państwa będą banki, fundusze inwestycyjne i rynki kapitałowe. City i usługi miały zagwarantować Zjednoczonemu Królestwu dobrobyt. Zamiast tego otrzymano niekończący się zjazd po równi pochyłej, którego nie udaje się już w żaden sposób zatrzymać. ©℗

eprasa.pl 9067552c20

Okupacyjna odyseja

Mimo zalewu wojennych narracji oferowanych nam przez naukowców, pisarzy czy filmowców nadal nie wiemy wielu rzeczy o okupacji z lat 1939–1945. Uzupełniając braki, musimy jednak pamiętać, że znaczenie ma nie tylko to, co opowiadamy, lecz także jak to robimy

Sebastian

Pawlina

Na początku września Instytut Pileckiego oznajmił, że otrzymał niezwykłe świadectwo z czasów II wojny światowej – 132-stronicową relację niemieckiego urzędnika, który od października 1943 do czerwca 1944 r. mieszkał i pracował w obejmującym dużą część przedwojennej Polski Generalnym Gubernatorstwie. Autor – anonimowy, podobnie jak darczyńca – pochodził z dobrze sytuowanej rodziny i był doskonale wykształcony. W 1942 r. uzyskał doktorat z prawa. Od wielu lat należał wówczas już do SS i NSDAP, zaś przyjazd do GG był jego własnym pomysłem. Nie był to więc przypadkowy człowiek, który został wysłany do okupowanego kraju bez pytania go o zgodę.

Jak pisze na stronie instytutu badająca temat historyczka dr Joanna Nikiel, „wspomnienia niemieckiego urzędnika z Generalnego Gubernatorstwa są kroniką zwyczajności w świecie, który zwyczajny nie był. Pokazują, w jaki sposób człowiek może oswoić radykalne zło, korzystać z przywilejów wytworzonych przez przemoc, widzieć cierpienie podporządkowanych i wiedzieć o mordowaniu innych, a mimo to zachować poczucie normalności własnego życia". Słowa te znajdują potwierdzenie w samej relacji. Jej autor wprost pisze bowiem o egzekucjach, obozach koncentracyjnych i ich więźniach, o handlu zagrabionym mieniem. Obrazy te sąsiadują ze scenami picia alkoholu, jedzenia, gry w karty. Nad całością wisi zaś myśl, która pojawiła się w głowie doktora prawa po wysłuchaniu opowieści o masowej egzekucji: „Jest mi niedobrze. To nie może być prawda! (...) Jeśli to prawda i przegramy wojnę, wszyscy będziemy wisieć!". Nie sama egzekucja była dla niego problemem, lecz jej możliwe konsekwencje dla niego.

Odkrywanie takich materiałów zawsze jest dla historyków wydarzeniem, daje bowiem nowe spojrzenie na badane czasy, otwiera niedostrzegane wcześniej perspektywy, pozwala docenić pomijane dotychczas sensy. Uzupełnia luki w obrazie przeszłości, ale i teraźniejszości, o ile właściwie się do nich zabierzemy.

O zemście bez zemsty

To, że informacja o tej relacji pojawiła się w pierwszych dniach września, jest na swój sposób symboliczne. Z jednej strony wydarzyło się to niedługo po kolejnej rocznicy wybuchu wojny, choć w tym raczej należy upatrywać celowego informowania opinii publicznej w czasie, gdy media sięgają po tematy związane z II wojną światową. Jest jednak coś jeszcze. Niewiele wcześniej, 10 sierpnia, w Warszawie w wieku 86 lat zmarł prof. Tomasz Szarota, historyk. Ale nie po prostu „historyk". Tomasz Szarota był – i długo się to nie zmieni – prawdopodobnie największym autorytetem wśród badaczy okupacji niemieckiej. Nie tylko jako autor fundamentalnych prac, takich jak biografia gen. Stefana Roweckiego „Grota", pierwszego dowódcy Armii Krajowej, czy „Okupowanej Warszawy dzień powszedni", lecz także jako człowiek aktywnie zaangażowany w budowanie relacji polsko-niemieckich opartych na prawdzie historycznej.

Dojście do takiego statusu wymagało od niego niemałego wysiłku. Nie chodzi jednak tylko o to, że duża część jego kariery naukowej – a pracował aż do śmierci – przypadła na PRL, czyli czas, w którym od historyków wymagano właściwej postawy ideowej. Szczególnie od tych badających historię najnowszą.

Niemniejsze znaczenie miało to, że profesor był synem Rafała Marcelego Blütha, przedwojennego publicysty, sowietologa, krytyka literackiego, którego Niemcy rozstrzelali w egzekucji w lasku niedaleko podwarszawskiego Natolina. To był sam początek okupacji, prawdopodobnie 17 listopada 1939 r. Tomasz Szarota urodził się kilka tygodni później, 2 stycznia 1940 r. Nie poznał nigdy ojca, który jednak i tak naznaczył jego życie. Człowiek, który postanawia badać okupację niemiecką, jest pogrobowcem, dzieckiem zamordowanego. Pierwszy raz zobaczył jego zdjęcie dopiero w wieku 22 lat. Matka zaś długo uczyła go pacierza z dodatkową frazą: „Panie Boże, zbaw duszyczkę mojego tatusia Rafała". Nietrudno sobie wyobrazić, że w takiej sytuacji Tomasz Szarota czułby jedynie nienawiść do Niemców. Sytuacji nie poprawiał nastrój w powojennej Polsce. „Za moich czasów wszędzie słychać było zdanie: dobry Niemiec to martwy Niemiec. Taką atmosferą oddychałem przez kilkadziesiąt lat. Tak wyglądał proces powojennej socjalizacji milionów Polaków, całych pokoleń" – mówił w „Dumie i wstydzie", wywiadzie rzece, który krótko przed jego śmiercią przeprowadzili z nim Emil Marat i Michał Wójcik. Profesor jednak postanowił wybaczyć. I zrobił to dzięki ojcu! Stało się to w 1965 r., po słynnym orędziu polskich biskupów, którzy mówili: „wybaczamy i prosimy o wybaczenie".

„Otóż ja sobie wyobraziłem, że tuż przed salwą plutonu egzekucyjnego, która pozbawiła go (R.M. Blütha – red.) życia, gdy tam stał w grupie Polaków, mógł podjąć decyzję, że wybacza. Bo przecież był do tego zdolny. Wiem, że taka moja deklaracja w jego imieniu może budzić sprzeciw, bo niby skąd ja to mogę wiedzieć. Niemniej... właśnie tak widzę mojego ojca dzisiaj. Jestem absolutnie przekonany, że się przeżegnał, nim go zabito. Ten obraz ojca przed plutonem egzekucyjnym stanął mi w oczach. I to moje wybaczenie stało się osobistą decyzją" – tłumaczył.

Wybrał więc dialog, świadomie odrzucając zemstę, choć miał do niej moralne prawo, był ofiarą niemieckiego terroru. Choć przecież okupacja, której badaniu tyle lat poświęcił, ale i długie lata po niej, to opowieści o zemście ofiar. On jednak rozumiał, że poza czysto ludzką potrzebą wybaczenia jest mu to niezbędne, aby mógł rzetelnie i uczciwie wykonywać swoją pracę.

Obraz Thomasa Degeorge'a „Ulisses i Telemach zabijają zalotników Penelopy"

Jak u Remarque'a

W 1926 r. w USA ukazała się powieść Ernesta Hemingwaya „Słońce też wschodzi". Przyszły noblista opatrzył ją mottem zaczerpniętym od amerykańskiej pisarki i poetki Gertrudy Stein, która o pokoleniu, które weszło w dorosłość podczas I wojny światowej, powiedziała „You are all a lost generation", czyli „Wy wszyscy jesteście straconym pokoleniem". Stein również zapożyczyła tę frazę od pewnego Francuza. Według jednej z wersji był nim hotelarz i szef kuchni, według innej mechanik. To ona jednak nadała temu hasłu szersze, antywojenne i generacyjne znaczenie.

Szczególne miejsce w tym pokoleniu zajmowali pisarze. Tacy jak 18-letni w 1918 r. Hemingway czy 20-letni Erich Maria Remarque, którego powieści wydawane w dwudziestoleciu międzywojennym przyniosły mu popularność, ale też pozbawiły niemieckiego obywatelstwa i zmusiły do wyjazdu z ojczyzny. Jego dzieła czytano w Europie i USA. Najpierw jako jedne z najbardziej ikonicznych obrazów „straconego pokolenia", a potem bardziej jako opis następnej generacji, której młodość i marzenia zmieliła kolejna wojna, jeszcze straszniejsza. Ci, którzy przeżyli, musieli najpierw odbudować swoją codzienność i samych siebie.

Świadomość tej konieczności do niektórych docierała już w trakcie konfliktu. W sierpniu 1941 r. zaledwie 21-letni wówczas Zbigniew Leszek Grzywaczewski, mieszkający w Warszawie szkolny kolega „Rudego", „Alka" i „Zośki", zapisał w dzienniku wrażenia z lektury nieoficjalnego ciągu dalszego „Na Zachodzie bez zmian", czy-

eprasa.pl 9067552c20

FOT. ROLAND BOUVIER/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

li „Drogi powrotnej". Jej bohaterami są młodzi Niemcy, weterani Wielkiej Wojny, którzy wracają do rodzinnego miasteczka, ale nie potrafią się w nim odnaleźć. Wszystko wydaje im się inne, a doświadczenia ostatnich lat – pozbawione sensu. I oto w środku następnej dziejowej zawieruchy Grzywaczewski odnajduje na stronach powieści siebie.

„Straszna to rzecz! Ale tak jak barwnie, plastycznie wykazuje tragiczny los pokolenia wojennego Niemiec, tak zdaje mi się, że obecnie młode pokolenie polskie czeka podobna przyszłość. Bo te lata wojny są wykreślone z naszego życia. Jest to jakby cofanie się w czasie, bo zastój jest cofaniem. Jednocześnie w gruzach leży wszystko to, co było naszym światem ideałów i ku czemu dążyliśmy w myślach o swojej przyszłości. Równie więc ciężki jest nasz los" – pisał.

Pieśń o Penelopie

Przerwane życiorysy i biograficzne pustki nie są wynalazkiem ostatnich dwóch stuleci ani nawet tysiącleci. Jeden z takich znajdujemy już w starożytnej Grecji, u Homera. Odyseusz jest przecież klasycznym przykładem człowieka, któremu wojna i jej konsekwencje zburzyły dawne życie, zmuszając do dosłownego w jego przypadku wywalczenia tego, co dawniej do niego należało.

Jan Parandowski, tłumacząc „Odyseję", pisał w notatkach w październiku 1953 r., że fragmenty opowiadające o zalotnikach „butnych, bezkarnych, żrących i chlejących wino bez pamięci, trzymających Itakę w terrorze", przypominały mu „okupantów z ich tłustymi karkami, bezwstydnych zbrodniarzy, okrutnych i pewnych zwycięstwa". Część tej charakterystyki pasuje do anonimowego autora relacji pozyskanej przez Instytut Pileckiego. Odyseusz w odczytaniu autora „Godziny śródziemnomorskiej" był nadzieją na ocalenie, rozpaczliwie wypatrywaną i jednocześnie podważaną, bo przecież nie wiadomo było, czy jeszcze żyje. Eumajos stawał się obrazem tych, których okupacja złamała, ale nie pozbawiła godności. Melantios był kolaborantem. Telemach – to już mój przypis – jednym z Kolumbów, zmuszonych do przyspieszonego dorastania.

Szczególne miejsce w tych porównaniach zajmuje Penelopa. Wierna żona Odyseusza, która cierpi przez nieobecność męża i niepewność jego losu, ale również z powodu zagrożenia wiszącego nad synem. To zespolenie dwóch dramatów uderza szczególnie w pieśni 4, gdy Medon, wierny sługa nieobecnego pana domu, wyjawia Penelopie, że Telemach wsiadł na statek i ruszył szukać wieści o ojcu. Kobietę natychmiast „ogarnęła boleść, zabrakło jej tchu", a już po chwili siedziała na progu komnaty, płacząc. Otoczyły ją służące, do których skierowała słowa pełne żalu, strachu, ale też wyrzutu: „Już wcześniej straciłam męża dzielnego/ niczym lew, szlachetnego, o wyjątkowych zaletach/ wśród Danaów, co słynął szeroko w Helladzie i w Argos,/ teraz znów miłe dziecko porwały mi z domu wichury,/ zanim zdążyło się wsławić. Wyruszył, a ja nie słyszałam./ A i wam, nędznice, nie przyszło żadnej do głowy,/ żeby wyciągnąć mnie z łóżka, gdy on wstępował na statek/ ciemny i głęboki – wszak wyście na pewno wiedziały!" (przekł. Anna Maciejewska).

Nietrudno zobaczyć w tym momencie w Penelopie polską żonę i matkę, która żegnała najpierw męża idącego na wojnę w 1939 r., a w kolejnych latach syna albo córkę podążających śladami poprzednich pokoleń, które wrastały w tajne organizacje i spiski. W okresie okupacji znajdziemy setki opowieści o młodych konspiratorach ukrywających przed swoimi matkami prawdę o tym, czym się zajmują.

Ryszard Duplicki „Gil" do podziemia wszedł, mając 16 lat. Rok później związał się z oddziałem Armii Krajowej odpowiedzialnym za wykonywanie wyroków śmierci. W czerwcu 1943 r., już jako 18-latek, brał udział w akcji wymierzonej w Ernsta Dürrfelda, niemieckiego komisarza warszawskich przedsiębiorstw miejskich. W trakcie strzelaniny Duplicki został trafiony w płuco. Koledzy ewakuowali go z miejsca akcji. Przez kolejne dwa tygodnie mieszkał poza domem. Czekał, aż rana się zagoi. Nie bał się Niemców, ale matki i tego, że odkryje, że jej syn naraża się w akcjach bojowych. Cały wysiłek ukrywania prawdy poszedł na marne przez jeden głupi błąd. Po powrocie do rodzinnego gniazda wrzucił koszulę do prania. Krew już z niej wywabił, ale zapomniał o dziurze po kuli. Stała się ona koronnym dowodem w rodzinnej awanturze. Z kolei matka Aleksego Dawidowskiego „Alka" swoje niezadowolenie z ryzyka podejmowanego przez syna wyrażała tylko wymownymi spojrzeniami, które sam „Alek" z całą stanowczością ignorował.

W ukrywanej przed Penelopą wyprawie Telemacha pobrzmiewają te same melodie. Oto syn wyrusza z niebezpiecznym zadaniem, którego powodzenie może sprowadzić ratunek na Itakę żyjącą pod butem zalotników, a matka, odkrywając prawdę, wpada w czarną rozpacz. „Gdyby to do mnie dotarło, że w taką podróż się wybiera,/ toby musiał pozostać, chociażby i było mu spieszno,/ alboby, odjeżdżając, zostawił mnie w domu umarłą" – mówi do służących.

Rzeź zalotników

Penelopa w „Odysei" to jednak nie tylko płacząca z tęsknoty i strachu kobieta, lecz także postać kluczowa dla sensu powrotu samego Odyseusza, o czym przekonuje w „Odyseuszu. Biografii nieautoryzowanej" prof. Tomasz Mojsik. Bez niej, trwającej w oporze wobec okupujących dom zalotników, jej mąż nie miałby po co wracać. „Ba, Odys nie istnieje bez Penelopy, bo w ogóle nie miałby powrotu (nostos), a zatem i sławy (kleos)" – pisze badacz.

Jest więc ona nie tylko symbolem pokolenia rodziców rozumiejących zagrożenie lepiej niż dzieci, nawet jeśli już wchodzące w dorosłość, ale również przypomina tę część społeczeństwa, która miała być podstawą do wywalczenia niepodległości, a później odbudowy kraju. Tę część, która tworzyła Polskie Państwo Podziemne, a w codziennej pracy, mało efektownej i nieprzynoszącej satysfakcji, dbała o zachowanie postawy moralnej. W „Upadku" pisał o tym Albert Camus. „Sądzę zresztą, że działalność podziemna była niezgodna z moim temperamentem ani z upodobaniem do wysokich szczytów. Odnosiłem wrażenie, że oczekuje się ode mnie, bym dniami i nocami haftował coś w piwnicy, czekając, aż zjawią się bydlaki, żeby mnie z niej wypłoszyć, zniszczyć mój haft, a potem zaciągnąć mnie do innej piwnicy i tam zatłuc na śmierć. Podziwiałem tych, którzy oddawali się temu głębokiemu heroizmowi, ale nie potrafiłem ich naśladować" – głosi główny bohater, Jean-Baptiste Clemence. Nie brzmi jak Penelopa?

W „Odysei" – tak jak podczas okupacji – wszystko zmierza i tak w kierunku zemsty za doznane cierpienia. Bo przecież epos ten nie jest przede wszystkim opowiadaniem o podróży. Większość pieśni skupia się wokół przygotowań głównego bohatera do zabicia zalotników, do rzezi, której nikt nie miał ujść. W pieśni 22 jeden z jeszcze żywych, Lejodes, zaczyna błagać Odyseusza o litość. Tłumaczy, że on nigdy nic złego nie zrobił, a wręcz próbował innych powstrzymywać przed niegodziwościami. Ale Odys jest nieubłagany. Zabija go po tym, jak stwierdził, że skoro był z innymi, to na pewno chciał poślubić Penelopę, a jemu życzył, aby nigdy nie wrócił do domu.

A teraz spójrzmy na numer „Biuletynu Informacyjnego", najważniejszej gazety podziemnej Polski, z 30 lipca 1944 r. Nawołując do gotowości do walki o Warszawę, redakcja otwarcie pisze, że okupant nie może uciec, nie ponosząc odpowiedzialności za lata okupacji. „Nie ma Niemców dobrych. Nie ma Niemców uczciwych. Są tylko zbóje i mordercy jawni. (...) Każdego dosięgnąć musi dłoń karzącej polskiej sprawiedliwości" – stwierdza.

Słuchajmy opowieści

„Odyseja" uczy nas nie tylko mechanizmów, lecz także natury wojny. Opowiada o latach wyrwanych z życia, po których człowiek musi się odnaleźć. A nie jest to łatwe. To, czego doświadcza, potrafi bowiem zdemolować psychikę. Pogląd, że Odys cierpiał na zespół stresu pourazowego, nie jest ani nowy, ani rzadki. Już ponad 20 lat temu koncept ten rozwijał w swoich dwóch książkach amerykański psychiatra prof. Jonathan Shay. Ale nawet jeśli ofiara wojny poradzi sobie sama ze sobą, to musi mieć do czego wrócić. No i jeszcze ta zemsta, której porzucenie nie musi być proste.

Ten zestaw zjawisk i procesów pozwala nam opowiedzieć o wielu wojnach, konfliktach. Także o tym naszym, polskim doświadczeniu sprzed ponad 80 lat. Ale żeby to się udało, trzeba wykonać pracę. Najpierw zgromadzić wiedzę. Taką, którą możemy odnaleźć w relacjach świadków. To są właśnie te odkrycia ogłoszone we wrześniu przez Instytut Pileckiego, ale również te, z których tak dumny był Tomasz Szarota, a o których tak pasjonująco opowiedział Emilowi Maratowi i Michałowi Wójcikowi.

Potem należy poznać te źródła, zrozumieć je, ułożyć, nadać im sensy i znaczenia. Sine ira et studio (pol. bez gniewu i sympatii), jak pisał Tacyt. To nie może być praca odtwórcza. To nie może być tylko rekonstrukcja wydarzeń. Żyjemy w czasach, w których opowieści wojenne przestają być opowieściami, a stają się instrukcjami obsługi rzeczywistości. Żeby zaś właściwie wykonać tę część, musimy sięgać po doświadczenia minionych pokoleń, wieków, tysiącleci. Krótkie porównanie starożytnego eposu z niemiecką okupacją pokazuje, że człowiek wcale tak bardzo się nie zmienił. Istotą zdolną do siania zniszczenia był w roku 1000 p.n.e., jest w roku 2026 i będzie w kolejnych latach.

Popularna fraza głosi, że tylko umarli widzieli koniec wojny. To zdanie zazwyczaj błędnie przypisuje się Platonowi. W rzeczywistości jej autorem był hiszpańsko-amerykański pisarz i filozof George Santayana, który w opublikowanym w 1922 r. zbiorze „Soliloquies in England and Later Soliloquies" tekście „Tipperary" stwierdził nie tylko, że jedynie umarli są bezpieczni, bo widzieli koniec wojny. Napisał również coś, co powinniśmy wziąć sobie do serca jeszcze mocniej. A mianowicie, że cała reszta, czyli ci, którzy żyją, może jedynie myśleć, że jest bezpieczna. ©℗

Homerycka „Odyseja" uczy nas nie tylko mechanizmów, lecz także natury wojny. Opowiada o latach wyrwanych z życia, po których człowiek musi się odnaleźć

eprasa.pl 9067552c20

KOMUNIKATY

Wyciąg z ogłoszenia Prezydenta Miasta Tarnowa

o I przetargu ustnym nieograniczonym
na sprzedaż nieruchomości położonej **przy ul. Strefowej w Tarnowie.**

1. Do sprzedaży przeznacza się nieruchomość położoną przy ul. Strefowej w Tarnowie stanowiącą własność Gminy Miasta Tarnowa, oznaczoną numerem działki 189 obrębu 73 o powierzchni 4774 m^2 objęta księgą wieczystą TR1T/00011960/3 prowadzoną przez Sąd Rejonowy w Tarnowie.
2. Nieruchomość przeznaczona jest do sprzedaży w trybie przetargu ustnego nieograniczonego.
3. Cena wywoławcza dla nieruchomości wynosi: **870 000,00 zł brutto, (słownie: osiemset siedemdziesiąt tysięcy złotych),** w tym podatek od towarów i usług według stawki 23%.
4. Przetarg odbędzie się w dniu **08 grudnia 2026 r.** w budynku Urzędu Miasta Tarnowa, przy **ul. Wałowa 10 (Sala Lustrzana), parter – sala konferencyjna OPEN SPACE o godz. 12.20.**
5. W przetargu mogą brać udział osoby fizyczne i prawne, które wpłacą **wadium** w pieniądzu w wysokości **130 500,00 zł (słownie: sto trzydzieści tysięcy pięćset złotych)** na konto Urzędu Miasta Tarnowa Bank PKO Bank Polski Nr **15 1020 2892 0000 5002 0765 9693** w taki sposób, **aby najpóźniej w dniu 01 grudnia 2026 roku wadium znajdowało się na rachunku bankowym organizującego przetarg ustny nieograniczony. Za dokonanie wpłaty uważa się dzień wpływu środków pieniężnych na rachunek bankowy tut. Urzędu.**
6. Ogłoszenie o przetargu wywieszone zostało na tablicy ogłoszeń w Urzędzie Miasta Tarnowa ul. Nowa 3 i 4, a także opublikowane zostało na stronie internetowej Urzędu Miasta Tarnowa oraz w Biuletynie Informacji Publicznej.
7. Szczegółowe informacje dotyczące przetargu można uzyskać w Urzędzie Miasta Tarnowa, Wydziale Geodezji i Nieruchomości ul. Nowa 3, 33-100 Tarnów, pok. nr 205, II piętro, tel. (14) 68 82 755.

Wyciąg z Ogłoszenia Prezydenta Miasta Tarnowa

o I przetargu ustnym nieograniczonym na sprzedaż **nieruchomości** położonej
w rejonie ul. Wojska Polskiego w Tarnowie

1. Do sprzedaży przeznacza się kompleks stanowiący własność Gminy Miasta Tarnowa położony w Tarnowie, w rejonie ul. Wojska Polskiego, w obrębie 151, składający się z działek numer 50/7 o pow. 164 m^2 i 73/8 o pow. 1682 m^2 objętych księgą wieczystą TR1T/00072550/1 prowadzoną przez Sąd Rejonowy w Tarnowie, 43/39 o pow. 2467 m^2, 48/6 o pow. 2947 m^2 i 108/32 o pow. 488 m^2 objętych księgą wieczystą TR1T/00169981/8 prowadzoną przez Sąd Rejonowy w Tarnowie oraz 107/34 o pow. 700 m^2 objętej księgą wieczystą TR1T/00018436/0 prowadzoną przez Sąd Rejonowy w Tarnowie.
2. Kompleks jest przeznaczony do sprzedaży w trybie przetargu ustnego nieograniczonego.
3. **Cena wywoławcza dla kompleksu wynosi 2 900 000,00 zł brutto (słownie: dwa miliony dziewięćset tysięcy złotych),** w tym podatek od towarów i usług według stawki 23%.
4. Przetarg odbędzie się w dniu **8 grudnia 2026 r.** w budynku Urzędu Miasta Tarnowa, przy ul. Wałowej 10, parter, sala OPEN SPACE o godz. **12.40.**
5. W przetargu mogą brać udział osoby fizyczne i prawne, które wpłacą **wadium** w pieniądzu w wysokości **435 000,00 zł (słownie: czterysta trzydzieści pięć tysięcy złotych) na konto Urzędu Miasta Tarnowa Bank PKO BP SA Nr 15 1020 2892 0000 5002 0765 9693 w taki sposób, aby najpóźniej w dniu 1 grudnia 2026 roku wadium znajdowało się na rachunku bankowym organizującego przetarg ustny nieograniczony. Za dokonanie wpłaty uważa się dzień wpływu środków pieniężnych na rachunek bankowy tut. Urzędu.**
6. Ogłoszenie o przetargu zostało wywieszone na tablicach ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miasta Tarnowa ul. Nowa 3 i Nowa 4, a także opublikowane na stronie internetowej Urzędu Miasta Tarnowa oraz w Biuletynie Informacji Publicznej.
7. Szczegółowe informacje dotyczące przetargu można uzyskać w Urzędzie Miasta Tarnowa, Wydziale Geodezji i Nieruchomości ul. Nowa 3, 33-100 Tarnów, pok. 204, II piętro, Tel. (14) 68 82 754.

Wyciąg z ogłoszenia Prezydenta Miasta Tarnowa

o I przetargu ustnym nieograniczonym
na sprzedaż nieruchomości położonej **przy ul. Strefowej w Tarnowie.**

1. Do sprzedaży przeznacza się nieruchomość położoną przy ul. Strefowej w Tarnowie stanowiącą własność Gminy Miasta Tarnowa, oznaczoną numerem działki 312 obrębu 74 o powierzchni 19359 m^2 objęta księgą wieczystą TR1T/00011960/3 prowadzoną przez Sąd Rejonowy w Tarnowie..
2. Nieruchomość przeznaczona jest do sprzedaży w trybie przetargu ustnego nieograniczonego.
3. Cena wywoławcza dla nieruchomości wynosi: **3 540 000,00 zł brutto, (słownie: trzy miliony pięćset czterdzieści tysięcy złotych),** w tym podatek od towarów i usług według stawki 23%.
4. Przetarg odbędzie się w dniu **08 grudnia 2026 r.** w budynku Urzędu Miasta Tarnowa, przy **ul. Wałowa 10 (Sala Lustrzana), parter – sala konferencyjna OPEN SPACE o godz. 12.00.**
5. W przetargu mogą brać udział osoby fizyczne i prawne, które wpłacą **wadium** w pieniądzu w wysokości **531 000,00 zł (słownie: pięćset trzydzieści jeden tysięcy złotych** na konto Urzędu Miasta Tarnowa Bank PKO Bank Polski Nr **15 1020 2892 0000 5002 0765 9693** w taki sposób, **aby najpóźniej w dniu 01 grudnia 2026 roku wadium znajdowało się na rachunku bankowym organizującego przetarg ustny nieograniczony. Za dokonanie wpłaty uważa się dzień wpływu środków pieniężnych na rachunek bankowy tut. Urzędu.**
6. Ogłoszenie o przetargu wywieszone zostało na tablicy ogłoszeń w Urzędzie Miasta Tarnowa ul. Nowa 3 i 4, a także opublikowane zostało na stronie internetowej Urzędu Miasta Tarnowa oraz w Biuletynie Informacji Publicznej.
7. Szczegółowe informacje dotyczące przetargu można uzyskać w Urzędzie Miasta Tarnowa, Wydziale Geodezji i Nieruchomości ul. Nowa 3, 33-100 Tarnów, pok. nr 205, II piętro, tel. (14) 68 82 755.

Wyciąg z Ogłoszenia Prezydenta Miasta Tarnowa

o V przetargu ustnym nieograniczonym na sprzedaż **nieruchomości** położonej
w rejonie ul. Generała Tadeusza Klimeckiego w Tarnowie

1. Do sprzedaży przeznacza się nieruchomość położoną w obrębie 281 oznaczoną numerem działki 389 o pow. 2507 m^2 objętą księgą wieczystą TR1T/00066098/9 prowadzoną przez Sąd Rejonowy w Tarnowie.
2. Nieruchomość przeznaczona jest do sprzedaży w trybie przetargu ustnego nieograniczonego.
3. **Cena wywoławcza dla nieruchomości wynosi 690 000,00 zł brutto (słownie: sześćset dziewięćdziesiąt tysięcy złotych),** w tym podatek od towarów i usług według stawki 23%.
4. Przetarg odbędzie się w dniu **8 grudnia 2026 r.** w budynku Urzędu Miasta Tarnowa, przy ul. Wałowej 10, parter, sala OPEN SPACE o godz. **13.20.**
5. W przetargu mogą brać udział osoby fizyczne i prawne, które wpłacą **wadium** w pieniądzu w wysokości **103 500,00 zł (słownie: sto trzy tysiące pięćset złotych) na konto Urzędu Miasta Tarnowa Bank PKO BP SA Nr 15 1020 2892 0000 5002 0765 9693 w taki sposób, aby najpóźniej w dniu 1 grudnia 2026 roku wadium znajdowało się na rachunku bankowym organizującego przetarg ustny nieograniczony. Za dokonanie wpłaty uważa się dzień wpływu środków pieniężnych na rachunek bankowy tut. Urzędu.**
6. Ogłoszenie o przetargu zostało wywieszone na tablicach ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miasta Tarnowa ul. Nowa 3 i Nowa 4, a także opublikowane na stronie internetowej Urzędu Miasta Tarnowa oraz w Biuletynie Informacji Publicznej.
7. Szczegółowe informacje dotyczące przetargu można uzyskać w Urzędzie Miasta Tarnowa, Wydziale Geodezji i Nieruchomości ul. Nowa 3, 33-100 Tarnów, pok. 204, II piętro, Tel. (14) 68 82 754.

Prezes Samorządowego Kolegium Odwoławczego w Gdańsku
ogłasza konkurs
na kandydata na członka etatowego Samorządowego Kolegium Odwoławczego w Gdańsku.

I. Kandydaci przystępujący do konkursu na członków kolegium powinni spełniać następujące kryteria:
1) etatowy członek kolegium:
   a) posiadanie obywatelstwa polskiego i korzystanie z pełni praw publicznych,
   b) ukończenie magisterskich studiów prawniczych lub administracyjnych,
   c) wykazywanie się wysokim poziomem wiedzy prawniczej w zakresie administracji publicznej oraz doświadczeniem zawodowym,
   d) brak skazania prawomocnym wyrokiem, orzeczonym za przestępstwo popełnione z winy umyślnej,

II. Oferty kandydatów powinny zawierać:
1) uzasadnienie przystąpienia do konkursu,
2) kwestionariusz osobowy,
3) życiorys z opisem przebiegu pracy zawodowej,
4) odpis dyplomu oraz inne dokumenty potwierdzające dorobek i kwalifikacje zawodowe.
5) oświadczenia o spełnianiu wymogów wynikających z art. 9 ust.1 i 2 , art. 7 ust.1 i 8.

Oferty wraz z dokumentami kandydaci powinni składać w siedzibie kolegium, w zamkniętych kopertach z dopiskiem:

KONKURS NA ETATOWEGO CZŁONKA SAMORZĄDOWEGO KOLEGIUM ODWOŁAWCZEGO W GDAŃSKU

pod adresem:
Samorządowe Kolegium Odwoławcze w Gdańsku
ul. Podwale Przedmiejskie 30
80-824 Gdańsk

Termin składania ofert – **14 dni** od daty ukazania się ogłoszenia.

AUTOPROMOCJA

eprasa.pl 9067552c20

KOMUNIKATY

OBWIESZCZENIE
WOJEWODY WIELKOPOLSKIEGO
z dnia 29 września 2026 r.

Na podstawie art. 10 ust. 1 ustawy z dnia 24 lipca 2015 r. o przygotowaniu i realizacji strategicznych inwestycji w zakresie sieci przesyłowych (Dz.U. z 2024 r. poz. 1199), zwanej dalej: ustawą,

zawiadamiam

o wydaniu na rzecz Polskich Sieci Elektroenergetycznych S.A. decyzji Nr 10/2026 z 22 września 2026 r. (znak: IR-III.747.39.2026.MK) o ustaleniu lokalizacji strategicznej inwestycji w zakresie sieci przesyłowej dla inwestycji pn. „Modernizacja stacji 220/110 kV Leszno Gronowo – etap II".

Zgodnie z art. 25 ust. 1 ust ustawy decyzja podlega natychmiastowemu wykonaniu.

Od decyzji służy stronie odwołanie do Ministra Finansów i Gospodarki za pośrednictwem Wojewody Wielkopolskiego w terminie 14 dni od dnia, w którym zawiadomienie o jej wydaniu w drodze obwieszczenia uważa się za dokonane.

Zgodnie z art. 49 § 2 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. – Kodeks postępowania administracyjnego (Dz.U. z 2025 r. poz. 1691), w związku z art. 10 ust. 1 ustawy, zawiadomienie stron postępowania uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od **30 września 2026 r.,** tj. dnia, w którym nastąpiło publiczne ogłoszenie poprzez obwieszczenie w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu, właściwym miejscowo urzędzie gminy, w Biuletynie Informacji Publicznej, na stronach podmiotowych urzędu wojewódzkiego oraz urzędu gminy, oraz w prasie o zasięgu ogólnopolskim, ze skutkiem doręczenia na dzień obwieszczenia w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu.

Odwołanie od decyzji powinno zawierać zarzuty odnoszące się do decyzji, określać istotę i zakres żądania będącego przedmiotem odwołania oraz wskazywać dowody uzasadniające to żądanie. W trakcie biegu terminu do wniesienia odwołania stronom przysługuje prawo do zrzeczenia się odwołania. Z dniem doręczenia Wojewodzie Wielkopolskiemu oświadczenia o zrzeczeniu się prawa do wniesienia odwołania przez ostatnią ze stron postępowania, decyzja staje się ostateczna i prawomocna. Zrzeczenie się prawa do wniesienia odwołania skutkuje brakiem możliwości odwołania od decyzji oraz jej zaskarżenia do wojewódzkiego sądu administracyjnego.

Z treścią decyzji oraz z dokumentacją sprawy można się zapoznać w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu, Al. Niepodległości 16/18, Wydział Infrastruktury, Oddział Inwestycji Strategicznych, pok. nr 106 bud. C, tel. 61 854 1289, w godzinach obsługi klientów (poniedziałek, środa i piątek 8.30-15.00, wtorek i czwartek 12.00-15.00 w celu zapewnienia sprawnego przebiegu obsługi, uprzejmie proszę o wcześniejsze uzgodnienie terminu wizyty).

Treść decyzji została również zamieszczona wraz z obwieszczeniem **30 września 2026 r.** na stronie internetowej: www.poznan.uw.gov.pl w zakładce Ogłoszenia.

PREZYDENT OLSZTYNA

podaje do publicznej wiadomości wyciąg z ogłoszenia o przetargu ustnym nieograniczonym na zbycie nieruchomości Gminy Olsztyn

Oznaczenie nieruchomości według księgi wieczystej oraz katastru nieruchomości	nieruchomość zabudowana budynkami przeznaczonymi do rozbiórki, składająca się z działki oznaczonej numerem ewidencyjnym **21/2,** obręb 39, położona przy ul. Bałtyckiej, zapisana w księdze wieczystej **OL10/00057879/9**
Powierzchnia nieruchomości	**708 m²**
Przeznaczenie nieruchomości	sprzedaż nieruchomości w trybie przetargu ustnego nieograniczonego **pod zabudowę usługową projektowaną nieuciążliwą, z funkcją dopuszczalną mieszkaniową**
Cena wywoławcza	**450 000,00 zł** sprzedaż nieruchomości zwolniona jest z podatku VAT
Termin i miejsce przetargu	**4 grudnia 2026 r. o godzinie 10:30** w siedzibie Urzędu Miasta Olsztyna, Plac Jana Pawła II 1, sala 219 (II piętro)
Wysokość wadium	**10 % ceny wywoławczej** należy wpłacić na rachunek Urzędu Miasta Olsztyna, prowadzony przez **Bank Handlowy w Warszawie SA** – nr konta 77 **1030 1508 0000 0008 2300 1003** do dnia **30 listopada 2026 r.** Wadium winno znajdować się w dniu **30 listopada 2026 r.** na koncie Urzędu Miasta Olsztyna
Miejsce wywieszenia i publikacji ogłoszenia o przetargu	ogłoszenia o przetargach organizowanych przez Prezydenta Olsztyna dostępne są w Internecie pod adresem: www.gratka.pl, www.olsztyn.eu, www.infopublikator.pl, www.infoinwestycje.pl, w Biuletynie Informacji Publicznej prowadzonym przez Urząd Miasta Olsztyna pod adresem bip.olsztyn.eu oraz na elektronicznej tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta Olsztyna
Szczegółowych informacji o przetargu udziela	Wydział Geodezji i Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miasta Olsztyna Plac Jana Pawła II Nr 1, pokój 110, I piętro, tel. (89) 50-60-332

Mniej Więcej

Łukasz
Wilkowicz

Dużo miejsca na oszczędzanie

Nigdy wcześniej kondycja finansowa gospodarstw domowych nie była tak dobra, jak w ubiegłym roku – jeśli popatrzeć na relację wydatków do dochodu rozporządzalnego. W ostatnich dwóch latach była ona poniżej 60 proc. Jeszcze kilkanaście lat temu przekraczała 80 proc. Jak się okazuje, w najlepszej kondycji są rolnicy. W ich przypadku wydatki stanowiły w ubiegłym roku jedną trzecią dochodu rozporządzalnego. Najsłabiej wypadają renciści, gdzie wydatki stanowiły 72 proc. dochodu. ©℗

Dochody i wydatki na osobę w gospodarstwie domowym

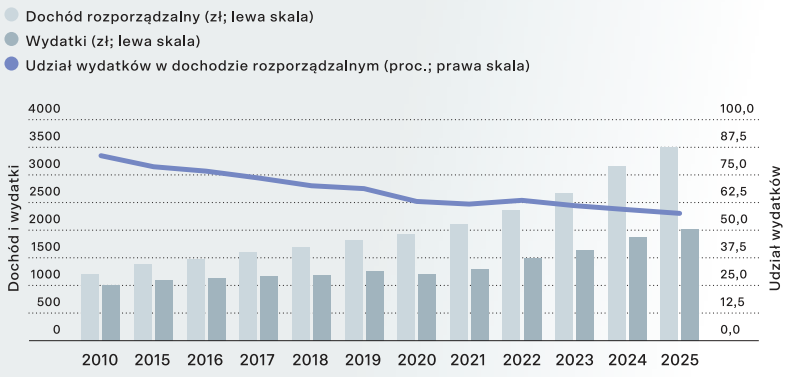

Źródło: GUS LR ©℗

Narastają nierówności wśród rolników

Coroczna publikacja GUS na temat budżetów gospodarstw domowych pokazuje również poziom nierówności. Obrazujący je wskaźnik Giniego od kilku lat pozostaje na względnie stałym poziomie. W ramach poszczególnych grup gospodarstw jest spore zróżnicowanie. W przypadku pracujących na własny rachunek wskaźnik jest wyższy od średniej (niemal 0,38), ale w ostatnich dwóch latach spadał. Wskaźnik dla wsi zanotował tylko minimalny wzrost, ale w przypadku rolników pierwszy raz w historii przekroczył 0,6. ©℗

Współczynnik nierówności dochodowych Giniego

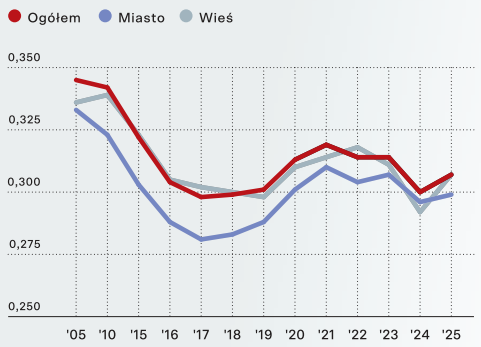

Źródło: GUS LR ©℗

W stronę zdrowej diety

Ostatnie dwie dekady stały pod znakiem bogacenia się Polaków i zmiany diety (oraz tego, że znacznie częściej jadamy poza domem). W największym stopniu ograniczyliśmy spożycie cukru i pieczywa. Przeciętne miesięczne spożycie cukru na osobę w gospodarstwie domowym w 2005 r. wynosiło 1,5 kg. W ubiegłym roku było to już 0,65 kg. W przypadku pieczywa mamy spadek z 5,9 kg do 2,5 kg. Wzrosty dotyczą tylko kategorii produktów uważanych za zdrowe, jak wody mineralne, jogurty, sery czy owoce (warzywa odnotowały duży spadek). ©℗

Spożycie na osobę w gospodarstwie domowym
(w 2025 r.; 2005 r. = 100)

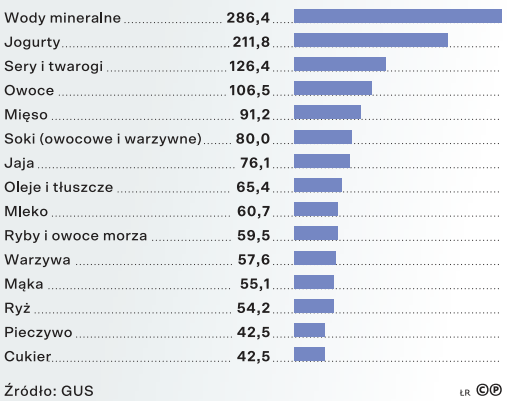

Źródło: GUS LR ©℗

eprasa.pl 9067552c20

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Sport przed unijnymi trybunałami

Rafał Woś

Istnieje wiele przykładów na to, jak rozpychanie się ustawodawstwa unijnego i orzecznictwa wspólnotowych sądów w praktyce odbiera suwerenność krajom członkowskim UE. Umyka nam jednak zwykle to, że ów proces prowadzi do faktycznej likwidacji autonomii oraz samorządności w wielu nieoczekiwanych dziedzinach życia. Na przykład w zawodowym sporcie.

Najgłośniejszym przypadkiem takiej ingerencji była jeszcze w latach 90. XX w. sprawa Bosmana. Rzecz dotyczyła mało znanego belgijskiego piłkarza, który chciał zmienić klub po upływie kontraktu, lecz jego dotychczasowy pracodawca domagał się zapłaty odstępnego. Była to wówczas praktyka powszechna. Jean-Marc Bosman poszedł do sądu. Spór trwał pięć lat i zakończył się zwycięstwem piłkarza przed trybunałami Unii Europejskiej. Sędziowie orzekli, że gdy kontrakt piłkarzowi się skończy, to ten może iść za darmo, dokąd mu się podoba. Dokładnie tak samo, jak każdy pracownik w każdej innej branży.

Sęk w tym, że aż do czasu sprawy Bosmana zawodowa piłka nożna nie funkcjonowała jak inne rynki pracy. Miała swoje zasady wynikające z prawa do samoregulacji branży sportowej sięgające jeszcze okresu międzywojennego. Łamiąc je, sędziowie zapoczątkowali we współczesnym futbolu rewolucję. Szybko się okazało, że skoro prawo o wolnym przemieszczaniu się siły roboczej wewnątrz UE zmienia branżowe reguły, to można przy jego pomocy unieważnić także wiele innych ograniczeń. Na przykład liczby obcokrajowców w klubie. Przez całe lata reguła głosiła, że nie może być ich więcej niż trzech. Gdy padła, piłka szybko zaczęła dryfować w kierunku kosmopolitycznego modelu armii zaciężnych z rynkiem piłkarzy krążących z miejsca na miejsce w poszukiwaniu lepszej zapłaty.

Potem było jeszcze kilka innych ważnych rozstrzygnięć. Na przykład sprawa dwóch pływaków Davida Mecy-Mediny oraz Igora Majcena. Obaj zdobyli medale na mistrzostwach świata w 1999 r., ale potem wpadli na teście antydopingowym i zostali zdyskwalifikowani. Poszli do unijnych sądów, argumentując, że to de facto ograniczenie ich wolności świadczenia pracy na terenie UE. Unijne sądy nie cofnęły wprawdzie dyskwalifikacji, ich orzeczenia otworzyły jednak ścieżkę do tego, by szukać odwołania od decyzji organizacji sportowych przed unijnymi trybunałami, gdy tylko ktoś uzna to za stosowne. Od tamtej pory z testu Mecy-Mediny korzystało wielu. Samoregulacja branży sportowej stała się fikcją.

To się dzieje przez cały czas. W Niemczech trwa ożywiona dyskusja, czy by przy pomocy sądów unijnych nie wystrzelić w kosmos jednego z fundamentów odmienności piłkarskiej Bundesligi. Chodzi o zasadę 50+1. Polega ona na tym, że na pierwszym i drugim poziomie niemieckiego piłkarstwa większościowy głos we władzach klubu musi należeć do klubowego stowarzyszenia. Zasada ta przez całe dekady zabezpieczała Niemców przed kupowaniem sobie klubów na własność przez bogaczy. Oni mogą je oczywiście kupić, ale nie wolno im uzyskać decydującego głosu w zarządzie, co obniża chęć włożenia w taki biznes pieniędzy. Po co bowiem inwestować, skoro nie można zostać udziałowcem większościowym? Jeśli by więc jakiś bogaty nafciarz chciał przejąć formalną władzę w – powiedzmy – Bayernie Monachium, to samorządna Niemiecka Liga Piłkarska (DFL) powinna odmówić mu licencji na grę.

Tu jednak pojawia się problem. Od zasady 50+1 istnieją bowiem wyjątki. Dotyczą one klubów Bayeru Leverkusen i VfL Wolfsburg. Ten pierwszy należy bowiem do słynnego koncernu aptekarskiego. Drugi do Volkswagena. W ostatnich latach pojawił się jeszcze trzeci – Red Bull Lipsk. Wszędzie tam komercyjny podmiot posiada większościowe udziały i decyduje o losach klubu. A wszystkie te zespoły grają w Bundeslidze.

Oczywiście jest to przykład nierównego traktowania, które stoi w istotnej sprzeczności z prawem europejskim. Wielu prawników twierdzi więc, że jakiś potencjalny inwestor mógłby zaskarżyć te reguły. Chwilę to pewnie potrwa, ale prawie na pewno skończy się dekapitacją zasady 50+1 i zrównaniem niemieckiego modelu organizacji futbolu z hiszpańskim, francuskim czy angielskim. Ot, jeszcze jeden skutek istnienia UE, z którego niewielu zdawało sobie sprawę, gdy mowa była o wielkiej idei europejskiej. ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”

Kalkulacja czy przekonania? Co wpływa na nasze opinie o podatkach

Dopóki mit „od pucybuta do milionera” pozostaje żywy, dopóty osoby ekonomicznie pokrzywdzone mogą bronić przywilejów najbogatszych, widząc w nich nie wyzysk, lecz słuszną nagrodę za życiowy sukces

Łukasz Krzempek

Autor jest ekonomistą GRAPE

Gdyby ludzie kierowali się wyłącznie własnym interesem, jak zakładają najprostsze modele ekonomiczne, polityka podatkowa byłaby wypadkową rozkładu dochodów i majątków w społeczeństwie oraz przewidywań odnośnie do ich przyszłych trajektorii. Debata publiczna skupiałaby się na efektach redystrybucyjnych danego podatku czy transferu, wyliczając precyzyjnie, kto ile straci bądź zyska.

W rzeczywistej dyskusji znacznie częściej słyszymy argumenty odnoszące się do legitymacji danego poziomu bogactwa czy zarobków. Liberałowie twierdzą, że rezultat rynkowej alokacji odzwierciedla wkład poszczególnych osób w społeczny produkt, wynagradzając ich stosownie do wysiłku i umiejętności. Lewica odpowiada, że koncept zasługi, w którym jedną osobę można uznać za kilka tysięcy razy bardziej produktywną od innej mimo tego samego czasu pracy, jest chybiony, a ponadto pozycja społeczna w większej mierze jest zdeterminowana przez szczęście niż własny wysiłek.

Co istotne, ideowe przekonania poszczególnych osób nie muszą się pokrywać z ich bezpośrednim interesem. Niektórzy poczytują wręcz za dowód cnoty i intelektualnej uczciwości to, że popierają rozwiązanie, na którym sami by nie skorzystali. To sprawia, że forma i skuteczność podnoszonych argumentów nabierają bezpośredniego wpływu na system podatkowy.

Niemieccy ekonomiści Patrick Sachweh (Uniwersytet w Bremie) i Debora Eicher (Uniwersytet Johannesa Gutenberga w Moguncji) postanowili zatem zbadać, na ile stosunek do redystrybucji kształtowany jest przez status dochodowo-majątkowy, a ile zależy od przekonań etycznych i poglądów na temat państwa i społeczeństwa.

W tym celu przeprowadzili badanie ankietowe, w którym zapytali Niemców o ich stosunek do podatku majątkowego (został zniesiony w 1997 r., choć nowsze analizy ekonomiczne sugerują, że jest on skuteczniejszy w redukowaniu nierówności niż podatek dochodowy). Ankieta różnicowała przy tym kontekst, w jakim pytano respondentów o zdanie. Niektórym prezentowano przypadek osoby, która fortunę zdobyła dzięki pracy, a innym takiej, która wzbogaciła się dzięki spadkowi lub wskutek spekulacji. Różnicowano również pochodzenie rodzinne fikcyjnego bohatera pytania.

Jak się okazało, przekonania dotyczące stopnia, w jakim bogactwo jest „zasłużone”, mają wymierny wpływ na poparcie dla jego opodatkowania. Przedstawienie majątku jako pochodzącego ze spadku lub spekulacji przekładało się na średnio częstsze poparcie podatku niż w przypadku majątku zdobytego własną pracą. Z kolei jeśli właściciel majątku wywodził się z ubogiej rodziny, to respondenci byli mniej skłonni go opodatkować niż kogoś, kto urodził się zamożny.

Jeszcze ciekawszy jest wpływ własnej sytuacji na opinię o podatku majątkowym. O ile sama zamożność respondenta ma raczej marginalny wpływ na jego odpowiedź, o tyle osoby uważające, że skorzystałyby na takim podatku, popierały go częściej niż ci, którzy sądzą, że by stracili lub nie zostaliby nim znacząco dotknięci. Może to sugerować, że znaczna część uboższych Niemców jest przeciwna podatkowi majątkowemu m.in. dlatego, iż nie zdają sobie sprawy, że sami by na nim skorzystali.

Zrozumienie tej dynamiki między interesem a ideą staje się zatem kluczowe dla zrozumienia trwałości nierówności i trajektorii ich narastania. ©℗

Słuchaj podcastu GRAPE | Tłoczone z danych „Czy człowiek to chłodny kalkulator zysku”

eprasa.pl 9067552c20